

Sara Orwig

Goraçe tamale

Rozdział 1

„Nie spojrzę!” przyrzekła sobie Clarice Jenkins, skręcając w szeroką Apache Avenue. Sąsiednim pasem mijały ją jadące w przeciwnym kierunku samochody. Na czystym błękitnie nieba nad Oklahoma City świeciło jasno letnie słońce. Ale Clarice nie była w słonecznym nastroju. Zgrzytnęła zębami, zacisnęła szczęki i patrzyła na wprost z natężeniem, które przyprawiało ją o pieczenie oczu. „Nie spojrzę. Przejadę jak gdyby nigdy nic i nawet nie zerknę w tamtą stronę! - Zajmij czymś myśli, nakazała sobie gorączkowo. Policzy po hiszpańsku do dziesięciu i może uda jej się jakoś to zignorować. To to. Ujrzała to oczyma wyobraźni i z głębi jej krtani dobył się zduszony pomruk. Znienawidzone, wstrętne, odpychające! A ona nie potrafi oprzeć się pokusie, by na to nie spojrzeć! To zatrulo jej życie, bo choćby nie wiem jak się zarzekała, nigdy nie udało jej się w jego kierunku nie spojrzeć.

Zbliżając się do skrzyżowania z podjazdem prowadzącym pod wejście do King's Crown, restauracji w której pracowała, znowu wydała z siebie gardłowy pomruk. Z jakże innymi uczuciami skręcała jeszcze niedawno w Apache Avenue. W starych, dobrych czasach, to znaczy przed dwoma tygodniami, jechała tu pełna zapału i radosnego podniecenia, rozsadzał ją entuzjazm do zarządzania King's Crown, należąca do wuja Stanton restauracją, nad którą, pod jego nieobecność sprawowała czasowo pieczę, mając do pomocy wuja Theo i swojego młodszego brata, Kenta.

Ale to się zmieniło. W gruzach legł jej spokój ducha, nerwy miała zszarpane, a jazda Apache Avenue była istną drogą przez mękę wewnętrznych zmagania i rozterek.

- Uno, dos, tres. - Będzie patrzyła prosto przed siebie! - Cuatro, cinco, seis. - Zwolniła przed podjazdem do King's Crown. Nie spojrzę. - Siete, ocho, nueve, diez. - Liczyła coraz

szybciej i słowa zaczynały zlewać się ze sobą. Odczuwała już tę nieodpartą moc, która przyciągała ją z siłą grawitacji, ten pociąg natury, któremu nie jest się w stanie przeciwstawić nawet siła woli całego świata.

Zesztywniała, tłumiąc bezwzględnie rozszalałą burzę zmysłów i mobilizując do walki z pokusą wszystkie swoje siły. Nie mrugnawszy powieką, wlepiła wzrok w szarą, betonową nawierzchnię jezdni i nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że przejechała podjazd prowadzący pod drzwi restauracji!

Zerknęła w lusterko, wyhamowała, wrzuciła wsteczny bieg i zaczęła wycofywać wóz. Na szczęście z tyłu nie nadjeżdżał w tej chwili żaden samochód. Poczowała, że ze zdenerwowania na policzki występuje jej ognisty rumieniec. Minęła podjazd, w który dzień w dzień skręcała! Na granicy jej pola widzenia zamajaczyła barwna plama.

- Uno, dos, tres, seis, siete... Mam to gdzieś! - Spojrzała.

- To prezentowało się tam w całej swojej okazałości...

Tors. Szeroki, obnażony tors połyskujący niczym wyszlifowane popiersie z drewna tekowego. Do perfekcji umięśniony, porośnięty gęstwą krótkich, ciemnych włosów. Tors przykuwał jej uwagę z mocą kleju super - atack. Jakże pragnęła nie zwracać uwagi na ten tors, jego właściciela i jego ohydną budę, ale za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżała, nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. Jej wzrok powędrował wyżej i wściekłość sięgnęła szczytów - posiadacz torsu się do niej uśmiechał!

Wielkie meksykańskie sombrero miał zsunięte na tył głowy, a frędzle z kolorowych kuleczek wokół ronda podrygiwały przy najmniejszym ruchu. Sterczał tam z bezwstydnie obnażonym torsem, w wystrzępionych, wyblakłych szortach opinających wąskie biodra i śmiał się z niej, że minęła swój podjazd! Obok niego dymił i buchał

kłębami pary odpychający stragan z tamalami (Tamale - rodzaj gołąbków popularnych w Meksyku, przyrządzanych z farszu mięsnego z dodatkiem mąki kukurydzianej, zawiniętego w liście kukurydziane, niekiedy bananowe.) - obskurny stragan, obniżający rangę i klasę restauracji King's Crown. Ostateczne przypieczętowanie tej obskurności stanowił gigantyczny, łopoczący na wietrze transparent, który głosił: „Gorące Tamale O'Toole'a. Mniam! Mniam!” Była to rozpostarta pomiędzy dwiema tyczkami, skosem do ulicy, wstęga papieru, którą sprzedawca ściągał każdego wieczora i mocował każdego ranka.

Pomachał do niej; nie odwzajemniła gestu. Zadarła brodę, skinęła sztywno głową i skręciła w podjazd.

Zerknęła na dęby po prawej. Grady O'Toole był właścicielem trójkątnego kawałka terenu przylegającego do parceli należącej do wuja Stanton. Wolno mu było na nim robić, co chciał. Przed straganem znajdował się placyk na dwa, trzy samochody, gdzie zgłodniiali kierowcy, zjechawszy z jezdni, mogli zaparkować i zjeść tamala w cieniu wysokiego, rozłożystego dębu.

Prowadząc wóz zakręcającym łagodnie, zwirowym podjazdem, Clarice czuła, jak napięcie mięśni ramion ustępuje z wolna, w przeciwieństwie do złości, która nie chciała jej opuścić. Powody do gniewu Clarice miała dwa: po pierwsze rozwścieczało ją to, że mając do wyboru tyle wolnych działek w mieście, Grady O'Toole uparł się ustawić swoją szkaradną budę tuż obok czegoś tak statecznego i pięknego jak King's Crown. A po drugie, do furii doprowadzał ją fakt, że, przejeżdżając obok Grady'ego O'Toole'a, nie potrafiła się nigdy powstrzymać od spojrzenia na jego ciało!

Jej wzrok przesunął się po zadbanym trawniku przed frontem usytuowanej na wzgórkach, uroczej restauracji i dziewczyna trochę się uspokoiła. Od wschodu posiadłość wuja

Stantona graniczyła z terenem O'Toole'a, ale od północy i od zachodu przylegała do miejskiego parku. Parę kroków na zachód od restauracji znajdowało się małe jezioro z pełnymi gracji łabędziami. Ten widok jeszcze dwa tygodnie temu wpływał kojąco na nerwy Clarice.

Wuj Theo, który prowadził z Gradyem O'Toole'em negocjacje w sprawie przeniesienia straganu z tamalami w inne miejsce, wyczerpał już wszystkie możliwości ugodowego załatwienia sprawy. Obecnie wuj Stanton szukał jakiegoś prawnego kruczka, by się pozbyć O'Toole'a. Clarice zgadzała się w duchu z opinią wuja Stanton, który uważał, że wuj Theo nie jest osobą odpowiednią do przeprowadzania kogokolwiek - stanowczości wuj Theo miał w sobie tyle, co stokrotka.

Patrzyła na jezioro, modląc się, by wuj Theo, wuj Stanton i adwokat znaleźli wreszcie jakiś sposób skłonienia Grady'ego O'Toole'a, by przepchnął swój stragan gdzie indziej.

Żwirowa alejka rozwidlała się. Jedna odnoga prowadziła pod osłonięte baldachimem wejście do restauracji, a druga okrążała budynek, by na jego tyłach rozszerzyć się w parking dla pracowników. Clarice zatrzymała samochód w cieniu wysokiego sykomora, przy wielkim, niebieskim kontenerze na śmieci i wbiegła do restauracji.

Dzień zaczął się źle - widokiem uśmiechniętej gęby Grady'ego O'Toole'a. Gdy Clarice otworzyła drzwi od zaplecza, okazało się, że to jeszcze nie koniec.

- Ratunku! Pomocy! - usłyszała i rozpoznała natychmiast głos brata. Ruszywszy pędem wąskim korytarzem w kierunku kuchni, ujrzała wuja Theo nadbiegającego z przeciwka z rącznikiem przerzuconym przez kark. Ze swymi puciołowatymi, różowymi policzkami, wielkimi, błękitnymi oczyma i szopą niesfornych, ciemnorudych kędziorów, w których zaczynały się już pojawiać pierwsze pasma siwizny,

przypominał jej przerośniętego cherubina. Wpadła do kuchni pierwsza i ujrzała swego brata zwisającego z okrągłego, Kent ścisnął przytrzymywaną przez Clarice drabinę nogami i stanął na niej prosto.

mosiężnego zyrandola. Grzywa blond włosów opadała Kentowi na niebieskie oczy. Chłopak wierzgał w powietrzu długimi, obleczonymi w dżinsy nogami, a chude ramiona, którymi trzymał się kurczowo zyrandola, pokrywały guzły napiętych mięśni. Na podłodze leżała drabina. Clarice podniosła ją szybko i rozstawiła.

- Kent, co ty, na miłość boską, wyprawiasz?!

- Czyściłem zyrandol i drabina się spode mnie wysunęła - wyjaśnił.

- Litości! - jęknął wuj Theo. - Ostrożnie. Daj, ja przytrzymam tę drabinę. - Spojrzał na Clarice. - Nie do twarzy ci w tej niebieskiej sukience! W porze lunchu wpadnie do nas pan Vickers i chcę cię z nim zapoznać.

- Wujku Theo, przestań się bawić w swata! Nie musisz mnie przedstawiać wszystkim naszym klientom płci męskiej - powiedziała ze śmiechem Clarice.

Błękitne oczy wuja Theo zabłyśły.

- Wiem, że nie muszę, ale pan Vickers, to bardzo przystojny mężczyzna.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie pochylić się i nie pocałować go w policzek.

- Jesteś słodki!

Aż pokraśniał z zadowolenia.

- Rozmawiałem dzisiaj rano z panem O'Toolem - dorzucił. - Może, gdybyś ty z nim pogadała, Clarice, zgodziłby się zabrać stąd ten swój stragan.

- Co ci powiedział?

- Powiedział, że się zastanowi.

- To samo obiecywał ci wczoraj i przedwczoraj.

- I dlatego pomyślałem sobie, że teraz ty powinnaś przemówić mu do rozsądku. Przydałby się taki dodatkowy nacisk. - Wuj Theo patrzył na nią poważnie, a jego oczy, równie błękitne, jak jej, robiły się coraz bardziej okrągłe. Odniosła dziwne wrażenie, że wuj nie mówi jej wszystkiego.

- Sama nie wiem - mruknęła. - Chyba jednak zostawię pana Grady'ego OToole'a tobie.

- Hmm. Dziś rano dzwonił Stanton. Powiedział, że ma przeczucie, iż w tym tygodniu odwiedzą nas inspektorzy sanitarni i nakazał, żeby wszystko tu lśniło. Ja pracuję w sali, a Kent pucuje kuchnię.

- Ja też zostaję w kuchni. Przygotuję karty dań na lunch. - Zerknęła na wielki zegar ścienny wiszący nad błyszczącymi, stalowymi zlewozmywakami. - Trzeba się będzie tu uwinąć ze sprzątaniami do dziesiątej, bo potem przychodzi Cuong i obejmuje kuchnię w swoje władanie.

Zostawiła torebkę w małym kantorku, który służył jej za biuro i sąsiadował z zamkniętym na kłódkę pomieszczeniem, gdzie mieściło się biuro wuja Stanton.

Przy pracy czas mijał szybko. Wuj Theo krzątał się za barem, mieszając drinki. Clarice proponowała gościom miejsca, sprawdzała, czy w kuchni wszystko idzie jak należy, i nadzorowała kelnerki, podczas gdy Kent sprzątał ze stolików. W wolnych chwilach pomagała przygotowywać dania pod kierunkiem szefa kuchni, Counga Nguyena.

Po południowym szczycie znów zajęli się sprzątaniami, a Cuong zmywał i przygotowywał naczynia dla tłumu gości, który miał zapełnić lokal wieczorem. Wuj Theo i Kent uwijali się w wielkiej, głównej sali jadalnej, przykrywali stoliki czystymi, białymi obrusami z lnu i ustawiali na każdym wazon ze świeżymi różami, a obok niebieskie świece. Po południu dostarczono dwa nowe obrazy. Stojąc po środku sali i czekając, aż wuj Theo skompletuje narzędzia niezbędne do

ich zawieszenia, Clarice rozglądała się po restauracji. Przez wielkie okna od frontu wlewało się do środka słoneczne światło. Zielone rośliny zawieszane pod sufitem i porozstawiane na parapetach wytwarzały w sali atmosferę świeżości. Wyłożone boazerią ściany ozdobiono olejnymi obrazami i antycznymi zegarami. Za szklaną ścianą od zachodniej strony roztaczał się wspaniały widok na park i jeziorko, nad brzegiem którego przycupnęły z gracją płaczące wierzby. Wąskie pomieszczenie po wschodniej stronie lokalu spełniało rolę barku; stały tam małe stoliczki i obite skórą krzesła.

Clarice podziwiała właśnie nowe obrazy - jeden przedstawiał wzburzone morze, a drugi pięciomasztowy szkuner pod żaglami - kiedy raptem poraziła ją kakafonia wietnamskiego jazgotu. Szef kuchni Nguyen był człowiekiem małomównym, rzadko się odzywał, ale teraz, rzecz nie spotykana, słowa wylewały się z niego istnym potokiem. Clarice nie potrzebowała tłumacza, by wiedzieć, że stało się coś okropnego.

Przez wahadłowe drzwi wypadł z kuchni jak bomba Kent.

- Chodź zobaczyć, siostrzyczko! Nie możemy wyjść przez drzwi od podwórza.

- Co ty wygadujesz, Kent? Wchodziłam nimi rano i nie miałam żadnych kłopotów.

- Są zatarasowane ziemią. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Poważnie - powiedział. - Ziemi po sam dach.

- Niemożliwe - mruknęła Clarice. - Pójdę zobaczyć.

Wuj Theo odłożył młotek i drapał się niezdecydowanie w głowę, czekając, aż Clarice ruszy przodem. Przebiegła przez kuchnię. W korytarzyku na tyłach minęła się z szefem Nguyenem, który wracał właśnie do kuchni. Na jej widok zamachał rękami. Nie zrozumiała, co mówi, i nawet go nie

słuchała, bo całą jej uwagę przykuty drzwi na końcu korytarza. A raczej miejsce, gdzie się znajdowały. Stały otworem, a za nimi piętrzyła się hałda ziemi przesypująca się przez próg do korytarza i przesłaniająca cały widok.

- Co, u licha? - Podeszła bliżej.

- Uważaj, siostrzyczko. Może się jeszcze bardziej obsunąć i cię przywali. Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, kiedy posypały się na nią grudy ziemi.

Już chciała zacząć uciekać, kiedy wydało jej się, że od góry ktoś zagląda do środka. Zobaczyła kosmyki kasztanowych włosów. Opadło jeszcze trochę grudek i z prześwitu powstałego pod nadprożem spojrzała na nią morskozielonymi oczami umorusana twarz.

Błysnęły w uśmiechu białe zęby i w tym samym momencie na Clarice posypał się kolejny deszcz grudek ziemi. Znała ten uśmiech. Należał do Torsu. Furia, która ją ogarnęła, miała siłę huraganu.

- Ty! Co to za wygłupy?

- Lepiej się cofnij, siostrzyczko - poradził jej zza pleców Kent. Clarice ledwie go słyszała poprzez szum, który rozsadał jej uszy. Dygocząc z wściekłości, zdobyła się wreszcie na gest, który od dawna miała ochotę wykonać, i pogroziła pięścią uśmiechniętej gębie na szczycie hałdy ziemi.

- Ty prymitywny, tamalowy aborygenie!

Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej. Postąpiła krok w przód.

- Co ty sobie wyobrażasz...

Nagle Tors wrzasnął ostrzegawczo, a przez otwarte drzwi runęła lawina ziemi. Clarice pisnęła i odwróciła się na pięcie, żeby uciec, ale dopędziły ją zwały ziemi. Poczowała na plecach uderzenie czymś dużym, twardym i ciężkim, po czym upadła na podłogę.

Zaparlo jej dech, zobaczyła przed oczami fajerwerki kolorowych gwiazd, a potem wszystko pociemniało. Odkaszlnęła, zamrugła powiekami, wciągnęła w płuca potężny haust powietrza i zakrztusiła się ziemią. Nie mogła się poruszyć. Ogarnął ją paralizujący strach. Pogrzebana pod górą ziemi! Szarpnęła się rozpaczliwie - dopiero teraz do jej świadomości dotarło, że nie leży pod ziemią. Leży pod Torssem!

Czuła jego długie nogi splątane z jej własnymi, jego przytłaczający ciężar na sobie, ciepło bijące od tej samej obnażonej bezwstydnie klatki piersiowej, na którą zmuszona była patrzeć dzieli w dzień przez ostatnie dwa tygodnie. A teraz leżała pod nią. Szarpnęła się znowu, ale zaczerwieniwszy się od szyi po czubek głowy, zaprzestała szamotaniny i postanowiła, że choćby miała się tak zadusić na śmierć, będzie leżała nieruchomo i nie otrze się już ani razu siedzeniem o jego bardzo męskie ciało. W tym momencie poczuła, że spoczywający na niej ciężar ustępuje.

- Nic ci się nie stało? - spytał Tors i usiadłszy, pomógł jej pozbierać się z podłogi. Obserwowały ją bacznie duże, zielone oczy, ocienione długimi, gęstymi rzęsami, romantyczne oczy, które kazały dziewczynie zapomnieć o poobijanych żebrach i kolanach. O tym, co przed chwilą zaszło, przypomniawszy jej jednak smak ziemi w ustach. Odsunęła się od mężczyzny i spróbowała wstać.

- Auuu! - jęknęła z bólu, który przeszył jej lewą kostkę, i zachwiała się. Otoczyły ją silne ramiona. O'Toole zerwał się na nogi i podtrzymał Clarice z podziwu godną zwinnością. Patrzyła teraz z odległości zaledwie paru centymetrów na jego obnażony tors. Wypełniał całe jej pole widzenia. Cała ziemia z korytarza nie mogła przesłonić powabu tej rozrośniętej klatki piersiowej. Była brudna, pokryta cienką warstewką kurzu, ale jakże wspaniale umięśniona i ukształtowana. Tak jak nie

potrafiła nie spojrzeć nań przejeżdżając obok straganu O'Toole'a, tak teraz Clarice nie mogła oprzeć się pokusie przywarcia do wspaniałego męskiego torsu.

W dotyku był równie cudowny jak z wyglądu. Opamiętała się jednak szybko i wyrwała z objęć mężczyzny, przenosząc cały ciężar ciała na zdrową nogę i przytrzymując się ściany.

- Mam wezwać lekarza? - spytał. Wyglądał na szczerze zatroskanego, ale Clarice obiecała sobie, że to mu się na nic nie przyda. Wspaniały tors, czy nie wspaniały, ona zajmie się tą górą ziemi.

- Sama wezwę, ale policję! Zobacz, coś narobił! - wskazała zapalczywie na hałdę.

- Przepraszam, zaraz to posprzątam. I mogę wszystko wyjaśnić...

- Zablokowałeś naszą jedyną drogę ewakuacyjną! Jeśli inspektorzy straży pożarnej to odkryją, mogą zamknąć lokal,

- Nie próbuję doprowadzić do zamknięcia waszej restauracji - odparł spokojnie, a w niej zrodziło się nagle podejrzenie, że on sobie z niej kpi. Na policzku drgał mu mięsień, a w oczach zapalały się i gasły, iskierki wesołości: to sprawiło, że poziom jej gniewu podskoczył o jeszcze jeden stopień.

- Niech cię diabli! - wycedziła.

- Olala! - zawołał z progu kuchni Kent, a Grady O'Toole zacisnął usta.

- Kiedy to uprzątniesz? - spytała?

- Zaraz przyniosę łopatę...

- Łopatą! To potrwa tydzień! A przede wszystkim, skąd to się tu wzięło?

- Próbowałem właściwie wyjaśnić, że kupiłem wywrotkę ziemi, żeby zniwelować dołek, w którym stoi mój wózek z gorącymi tamalami. Kiedy pada, brodzę po kostki w wodzie. Po południowym szczycie odszedłem na chwilę...

- Ha, południowy szczyt! - wyrwało jej się. - Mówisz o tych dwóch klientach, którzy przyszli o dwunastej?

Uśmiechnął się.

- Tak. - O moich... eee... dwóch klientach. Jak już mówiłem, zanim mi nie przerwano, odszedłem na chwilę, by załatwić pewną sprawę, a na wózku zostawiłem dla robotników karteczkę z instrukcją, że mają zwalić ziemię z tyłu. Musieli źle zrozumieć i wykombinowali, że chodzi o tyły waszej restauracji.

- Jak mogli to tak zrozumieć? - spytała Clarice mrużąc oczy. - Trzeba być idiotą, żeby zwałać wywrotkę ziemi pod samymi drzwiami!

- O to sama musisz ich spytać - mruknął i wyciągnął rękę. - My się jeszcze nie znamy. Nazywam się Grady O'Toole.

Wolałaby uścisnąć rozpalone żelazo niż tę wielką, brudną łapę, ale dobre wychowanie nie pozwoliło jej nie zauważyć tego gestu pojednania. Wokół jej dłoni zacisnęły się ciepłe palce. Spojrzała w roześmiane oczy wyrażające zaproszenie do potraktowania sprawy na wesoło. W umorusanej twarzy wyróżniały się usta. Pełna dolna warga i delikatnie wygięta górna zdradzały inny rodzaj zaproszenia. Wyraz oczu Grady'ego zmienił się, brwi powędrowały w górę, a twarz przybrała pytający wyraz.

- Witam - powiedział uprzejmie wuj Theo. Clarice podskoczyła, puszczając natychmiast rękę O'Toole'a.

- Witam, sir. Przepraszam za tę ziemię. To przez pomyłkę. Nie było mnie, kiedy ją przywieźli, a nie przyszło mi do głowy, że zwałą ją pod drzwiami, ale zaraz wezmę łopatę i wygarnę ją stąd.

Wuj Theo zaskoczony zamrugnął oczami.

- Łopatą? A tamci nie mogą tu wrócić ze swoją wywrotką i sami jej wygarnąć?

- Teraz ich nie złapię. Nie spocznę, dopóki nie utworzę przejścia.

- Utorowanie przejścia, to za mało - oświadczyła stanowczo Clarice.

- Nie poganiaj człowieka - upomniał ją wuj Theo. - Panie O'Toole, to mój bratanek Kent Jenkins. A to pan O'Toole, właściciel straganu z tamalami.

Kiedy wymieniali uściski dłoni, w kuchni zadzwonił telefon i Kent pobiegł go odebrać.

- Nie wystarczy, że utworzysz przejście - Clarice, wzięwszy się pod boki, wróciła do tematu. - Musisz to stąd uprzętać do ostatniego ziarenka! Nie możemy teraz zamknąć drzwi!

- Usunę tę ziemię z waszego korytarza - obiecał. - Nie wsypałaby się do środka, gdybyście nie otworzyli drzwi - dorzucił cicho i jeszcze bardziej ją tym zdenerwował.

- Siostrzyczko, wuj Stanton chce z tobą mówić - zawołał Kent.

- Zaraz wracam - powiedziała do Grady'ego i, powłócząc obolałą nogą, pokuśtykała do kuchni. Podniosła słuchawkę wiszącego na ścianie aparatu, zniżyła głos, ale przez cały czas miała wrażenie, że czekający w odległości zaledwie kilku metrów Grady O'Toole i tak słyszy każde słowo.

- Clarice! - rozległ się w słuchawce burkliwy głos wuja Stanton. Od razu wyobraziła sobie jego gniewną minę, wlepione w telefon czarne oczy i poruszający się miarowo cienki wąsik.

- Tak, wuju - odparła, masując kostkę. Ból jakby ustępował.

- Bądź u mnie o dziewiątej wieczorem - warknął rozkazująco.

- Nie wpuszczą mnie o tej porze do szpitala. To po godzinach odwiedzin.

- Bzdury opowiadasz. Wpuszczą bez gadania. Jesteś moją krewniaczką i mam prawo do przyjmowania wizyt członków rodziny. Masz tu być o dziewiątej wieczorem, słyszysz?

- Tak, wuju - odparła z rezygnacją, nie wdając się w dyskusje. - Będę.

- Kent mówił, że w południe mieliście niezły obrót.

- Tak, wuju.

- Przynieś mi kwity kasowe.

- Tak, wuju.

Trzask odkładanej słuchawki. Odwiesiła ją i wyszła z powrotem na korytarz. W drzwiach minęła się z wracającym do kuchni Kentem. Wuj Theo oddalał się właśnie w kierunku sali jadalnej.

Grady O'Toole stał zwrócony twarzą do hałdy ziemi, ale kiedy do niego podeszła, obejrzał się.

- Jak noga?

- Trochę lepiej. Nic mi nie będzie.

- Przykro mi, że do tego doszło.

- Nie wydaje mi się, żeby ci było przykro - odparła chłodno. - Nie pojmuję, jak można było uczynić tyle zamieszania jedną wywrotką ziemi! Podejrzewam, że zrobiłeś to celowo!

- Naprawdę?

Na widok iskierok rozbawienia w jego oczach znowu ogarnęła ją złość.

- Po co, według ciebie, miałbym zwałać wielką wywrotkę ziemi pod waszymi drzwiami od zplecza? - spytał.

- Żeby zrobić nam na złość. Z zemsty, bo próbujemy się ciebie pozbyć. Skąd mam wiedzieć, co za perwersyjne motywy mogą kierować takim tamalowym typem. Nie rozumiem, jak silny, zdrowy mężczyzna może całymi dniami sterczeć półnagi przy wózku z tamalami!

Zacisnął usta i obrzucił ją spojrzeniem, od którego zrobiło jej się dziwnie.

- Pórnagi? Gorszy cię moja odsłonięta klatka piersiowa? Pożałowała teraz, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Łap się lepiej za łopatę.

- Zaraz, zaraz. Gorszy cię moja klatka piersiowa! To dlatego minęłaś dzisiaj rano swój podjazd?

- Jasna cholera! - wrzasnęła, czując, że policzki jej płoną. Nienawidziła tego szerokiego uśmiechu, który zaczynał wykwitać powoli na wstrętnej gębie Grady'ego O'Toole'a.

- Wcale nie. Zamyśliłam się.

- Jasne, rozumiem! Nie jesteś zamężna, Clarice, prawda?

- Nie twój zakichany interes!

- Mój, mój. To stawia sprawy w jaśniejszym świetle.

- Może dla ciebie, bo dla mnie na pewno nie! Zatrudniamy trzy osoby, które przychodzą do pracy o szesnastej, czwarta zjawia się o siedemnastej, dwie kończą o dziewiętnastej. Teraz wszystkie będą musiały wchodzić i wychodzić od frontu. Szlag mnie trafia na samą myśl, że będą się kręcić po sali jadalnej i zakłócać spokój klientom.

- Przepraszam, ale czy wasi pracownicy, zamiast po drodze tańczyć i śpiewać, nie mogą się przemknąć niepostrzeżenie prosto do kuchni?

- Tak cię to wszystko bawi?

Nachylił się ku niej. Chciała się cofnąć, ale za sobą miała górę ziemi.

- Panno Jenkins - wycedził - jest pani napięta jak sprężyna!

Zabrakło jej tchu. Temperatura w korytarzu podskoczyła gwałtownie i zrobiło się gorąco, jak w tropikalnej dżungli. Zerknął przez ramię, a potem znowu utkwiał w dziewczynie błyszczące oczy zdradzające jego intencje tak samo wyraźnie,

jak transparent „Gorące Tamale O'Toole'a, Mniam. Mniam” nad jego straganem.

- Nie rób tego! - wyszeptała bez tchu. Serce waliło jej jak młotem.

Zamrugął nagle powiekami i jego twarz przybrała wyraz, którego Clarice nie potrafiła odszyfrować. Napięcie między nimi opadło. Cofnął się, opuszczając ręce.

Wiedziała, że chciał ją pocałować. I zrezygnował, kiedy ostrzegła go, żeby tego nie robił. W jego oczach znowu pojawiło się rozbawienie.

- Czego niby mam nie robić? - spytał.

Ogarnęła ją wściekłość. Zdumiewające, jak mężczyzna mierzący sobie ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ważący ze sto kilo, a może i więcej, potrafi tak działać na nerwy.

- Tego, co zamierzałeś - powiedziała, siląc się na wyniosłość i czując, że dzieje się z nią coś szczególnego, coś, czego wolą nie analizować.

- Zamierzałem cię pocałować i dobrze o tym wiesz! - odparł ze śmiechem.

- Może byś się wreszcie zabrał do sprzątnięcia tej ziemi?

- Tak miło nam się rozmawia - powiedział wesoło, co wcale nie podziałało na nią uspokajająco.

- No pewnie! Nie lubi pan pracować, prawda, panie O'Toole? Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Co dzień mogę powtarzać, że rozmowa z ładną damą jest przyjemniejsza od przerzucania ziemi łopata!

- Ale tę ziemię trzeba stąd uprzętnąć!

- Już się robi, pszepani. Z miejsca zabieram się do roboty. I naprawdę nie kazałem tego tu zrzucić. Nie drę kotów z sąsiadami.

Złość Clarice mijała. Zaczynał mówić do rzeczy. I znowu miała trudności z powstrzymaniem się od spuszczenia wzroku na odległy o zaledwie kilkanaście centymetrów jego tors.

Jedno było pewne - brud nie umniejszał ani na jotę jego przyciągającej siły.

O'Toole zauważył, co się z nią dzieje.

- Masz przecież brata - powiedział, przysuwając się bliżej.
- Musiałaś już widzieć obnażoną klatkę piersiową.

Nie знаła dotąd osoby, która działałaby jej na nerwy tak, jak Grady O'Toole. Kipiąc ze złości, stłumiła idiotyczną pokusę skierowania znowu wzroku na przedmiot rozmowy.

- Nie wbijaj się w dumę. Twój tors ani mnie ziębi, ani grzeje - odparła tonem, który w zamyśle miał być lodowato pogardliwy. A jednocześnie jakiś wewnętrzny głos wrzeszczał w niej na całe gardło, że ten tors jak najbardziej robi na niej wrażenie - jest tak wspaniały, że jego widok i bliskość zapiera jej dech w piersiach.

- Czyżby? - mruknął. - To dlaczego robisz wszystko, żeby na mnie nie patrzeć?

- Wcale nie! - krzyknęła, rzucając przeciągłe, wyzywające spojrzenie na jego pierś i jednocześnie uświadomiła sobie, że gdy dała się wciągnąć Grady'emu O'Toole'owi w tę pozornie niewinną grę, popełniła niewybaczalny błąd. Ale było już za późno. Widok jego torsu nie mógł na nią nie podziałać. W ustach jej zaschło, piersi zrobiły się ciężkie, a na policzki wystąpił rumieniec. Jeszcze chwila, a przesunie palcami po ciepłej skórze, przywrze mocno do tych twardych mięśni...

- Napatrz się do syta - wymruczał najgłębszym, najbardziej zmysłowym głosem, jaki w życiu słyszała. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa, w głowie zawirowało i zapragnęła dotknąć Grady'ego. Zamrugła oczyma, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i kim on jest. Tors. Najokazalszy męski tors w okolicy i akurat ona musi z nim walczyć.

Odetchnęła głęboko, podniosła na niego wzrok. Uśmiechał się. Była tak oszołomiona, że odpowiedziała uśmiechem, ale zaraz się zreflektowała.

- Panie O...

- Daj spokój, Clarice, mów mi Grady. Żaden O'Toole, tylko Grady. Przyjaciele nie powinni zwracać się do siebie tak oficjalnie.

- Nie jesteśmy...

- Ale będziemy - zapewnił, a jej przyspieszył puls. - No to ja łapię się za łopatę, a ty sobie patrz na moją pierś, ile dusza zapagnie - dorzucił poważnie, a Clarice zadygotała, tłumiąc narastającą furie.

Opanowała się jednak i nawet zdobyła się na uśmiech. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, to dać po sobie poznać, że Grady nie jest jej obojętny.

- Dzięki, Grady, ale nie skorzystam - powiedziała i minawszy go, ruszyła w kierunku kuchni, zapominając zupełnie o obolałej kostce.

Grady O'Toole odwrócił się, żeby wzrokiem odprowadzić Clarice Jenkins. Sądząc po fałdach tworzących się na niebieskiej spódnicy, kiedy dziewczyna szła, nogi miała długie i zgrabne. Daj sobie z nią spokój - pomyślał w duchu. Nie miał teraz czasu na komplikowanie sobie życia kobietami. Zresztą Clarice nie była w jego typie. Staroświecka jak święta Bożego Narodzenia, a na dodatek pruderyjna. Ale miała największe błękitne oczy i najgładszą skórę, i poruszała się z takim wdziękiem, że nie mógł oderwać od niej oczu.

Grady, za ciężko pracujesz - pomyślał, gramoląc się przez hałdę ziemi, żeby przynieść narzędzia. Musiał przyznać Clarice rację. Nikt o zdrowych zmysłach nie zwałaby ziemi pod drzwiami.

Kiedy w ponurym nastroju zaczął machać łopatą, przypomniała mu się Clarice plotąca coś o jego klatce

piersiowej. Zachichotał. Rzeczywiście była staroświecka. W przeciwieństwie do jej sposobu poruszania się - podpowiedział mu wewnętrzny głos jego libido. Zaczął pracować szybciej. Zapomnij o niej - przykazał sobie Grady. Kobiety tego typu to murowane kłopoty. Popatrz tylko na nią - nie znasz jej, a już chciała cię ubrać w koszulę! Pomyśl tylko...

Odrzucił łopatę czarnej ziemi i przerwał pracę. Uświadomił sobie nagle, że nie ma o kim myśleć. Nie licząc przypadkowych randek, od czasu zerwania z Peggy w jego życiu nie było nikogo. Zbyt absorbowały go sprawy osobiste innego rodzaju.

- Panie O'Toole! Czy byłby pan łaskaw przyłożyć się do pracy?

Obejrzał się i zobaczył Clarice, która stała w progu i patrzyła na niego groźnie.

- Już, już - odkrzyknął wesoło, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Ona zaczyna działać mi na nerwy - pomyślał. Pyskata, pruderyjna, sztywna, z ustami głodnymi pocałunków...

Wbił łopatę w ziemię, ale zamiast czarnych grud widział tam rozchylone usta dziewczyny, błękitną, pulsującą na szyi żyłkę, trzepoczące rzęsy. Chciała, żeby ją pocałował. Miał szczerzy zamiar to zrobić, ale rozsądek podpowiedział mu, że popełniłby niewybaczalne głupstwo. Kobiety w rodzaju Clarice Jenkins to kłopot. Wielki, niebieskooki kłopot.

Jemu na przykład nie szło machanie łopatą, bo myślał o Clarice. Zacisnął zęby i zdwoił wysiłki, czując, że pot występuje mu na ramiona i czoło. W porze obiadowej odrzucił łopatę, opłukał się i wrócił na dwie godziny do sprzedawania tamali. Stojąc przy swoim straganie, obserwował eleganckie samochody zajeżdżające przed wejście do King's Crown, gdzie portier otwierał przed klientami drzwi i parkował ich wozy.

Po dwóch godzinach Grady zamknął stragan z tamalami, po czym złapał się znowu za łopatę. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi, a on wciąż ładował czarną ziemię na taczkę, wywoził na swoją parcelę i zwał tam na udeptane klepisko. Droga ewakuacyjna z restauracji była już oczyszczona, a teraz mały stopniowo góry ziemi po obu jej stronach. Jutro wezwie ludzi, którzy przywieźli ziemię, żeby dokończyli dzieła. Zapadła noc, ale latarnie wokół restauracji oświetlały parking na zapleczu i podjazd, zapewniając niezłą widoczność.

Gdy pchał przez podjazd taczki, najpierw pełne ziemi, a potem puste, Grady starał się skupić na tym monotonnym zajęciu i wyrzucić z myśli błękitne oczy Clarice, ale przegrywał tę wewnętrzną walkę. Zaczynał odczuwać ból w ramionach i plecach. Nie do wiary, jak szybko stoczył się w hierarchii społecznej z pozycji prezesa własnej firmy wiertniczej na pozycję przerzucającego ziemię sprzedawcy tamali!

Doszedł do wniosku, że potrzeba mu kilku rzeczy na raz: kolacji, której domagał się protestujący żołądek; kąpieli, bo jego ciało było od stóp do głów oblepione kurzem; i randki z piękną, podniecającą, skomplikowaną kobietą, ponieważ pragnął zapomnieć o Clarice Jenkins. Musiał spotkać się z kimś, kto nie nazwie go tamalowym typem!

Zamknął stragan, przyciągnął go pod drzewo i przypiął do pnia łańcuchem. Przyglądał mu się przez chwilę, myśląc o kuzynie Barcie i firmie O'Toole Drilling. Potem zerknął jeszcze raz na King's Crown, wzruszył ramionami i powlókł się do swojego czarnego lincolna, którego przez ostatnie dwa tygodnie parkował na wydeptanej ścieżce wśród drzew. Wsiadł do wozu, rozkoszując się komfortem obszernego wnętrza. W tym momencie otworzyły się drzwi od zaplecza King's Crown i na kopce ziemi padła smuga żółtego światła.

Na widok stojącej w progu Clarice Grady'emu krew zaczęła krążyć szybciej. Silnik pracował na wolnych obrotach, a kierowca patrzył, jak dziewczyna idzie przez parking do małego, poobtłukiwanego czerwonego forda. Zauważył, że utyka lekko na stłuczoną nogę i przypomniało mu się, jak przyjemnie było czuć pod sobą miękkość ciała Clarice i do czego doprowadziły go gwałtowne ruchy jej pośladków. Ona tymczasem zapuściła silnik forda, skręciła w podjazd i odjechała.

Wyprowadził powoli swój wóz na ulicę. Nie myślał o niczym. Czuł w mięśniach tę przerzuconą górę ziemi.

Clarice skręciła na wschód, kierując się do szpitala, w którym po operacji stopy dochodził do siebie wuj Stanton. Zastała go siedzącego na łóżku i studiującego profesjonalne czasopismo dla restauratorów. Kasztanowe włosy miał zmierzwiłone, a okulary bez oprawki zsunięte na czubek nosa.

Kiedy wchodziła, podniósł na nią wzrok.

- Dobry wieczór, wujku Stantonie.

- Jaki wieczór, to już głucha noc. Jedziesz prosto z pracy?

- Tak, wujku. - Usiadła w brązowym, plastikowym foteliku i założyła nogę na nogę, a na krawędzi łóżka położyła plik papierów. - Jak się czujesz?

- Da się wytrzymać. Jak interesy?

- Tu masz rachunki. Mieliśmy bardzo ciężki wieczór.

- Hmm. Co to za historia z tą ziemią w korytarzu?

Clarice zmarszczyła czoło. Skąd wuj Stanton mógł się o tym tak szybko dowiedzieć?

- To ten O'Toole od straganu z tamalami. Zamówił ziemię, a ci, którzy ją przywieźli, myśleli, że to dla nas.

- Kretyńskie miejsce na zwalenie ziemi! A teraz posłuchaj, Clarice, co zrobisz jutro. Złożysz temu O'Toole'owi ofertę. Chcę go usunąć sprzed mojej restauracji! Masz tu listę trzech działek większych od tej, którą ma, i położonych w tak

samo dobrych punktach. Jeśli zgodzi się przenieść, sprzedam mu tę, którą sobie wybierze, kupię jego działkę za tę samą cenę i dorzucę mu tysiąc dolarów ekstra. Dla straganiarza tysiąc dolarów powinno stanowić sumkę nie do pogardzenia.

- Nie znasz go - mruknęła Clarice, żałując, że sama też go nie zna. Nie dość, że miała z nim tyle kłopotów, to jeszcze utkwiał jej w głowie jak masło orzechowe w zębach. Nie chciała o nim myśleć; nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Coś nie tak? - spytał wuj Stanton, zwracając na nią całą swoją uwagę.

- Jest irytujący. To trochę trudno wyjaśnić. - Ani myślała zwierzać się wujowi z reakcji, jaką wywołał w niej Tors. Ale mówiła dalej wysilając mózg w poszukiwaniu sposobu wyjaśnienia dylematu, jaki stanowił Grady O'Toole. - To człowiek z rodzaju tych, co potrafią zatrzymać się na środku skrzyżowania i na parę minut zablokować ruch. Sprowadza nieszczęścia. Na przykład ta ziemia przed naszymi drzwiami od zaplecza. Nie on to zrobił, nie maczał w tym palców, ale pośrednio on jest za to odpowiedzialny. Może lepiej zaczekasz, aż zbankrutuje i weźmie się za coś innego?

- Nie, nie będę czekał - zdecydował wuj Stanton po chwili zastanowienia. - Stragan z tamalami przed samym wejściem przynosi ujmę naszej restauracji. Każdy ma swoją cenę. A w przypadku sprzedawcy tamali nie powinna być ona wysoka. Wiesz co, Clarice, zaproponuj mu dwa tysiące dolarów.

- Powiem wujowi Theo, żeby...

- Nie! - zagrzmiał wuj Stanton. - Ze wszystkich, którzy pracują w King's Crown, ty jesteś najbardziej przedsiębiorcza. Ty załatwisz tę sprawę.

- Dziękuję...

- Nie wbijaj się w dumę! Gdyby nie moja chora stopa... - przymrużył oczy i utkwiał wzrok w dziewczynie. - Przedstawisz tę ofertę O'Toole'owi jutro rano. Prowadzę jedną

z najelegantszych restauracji w mieście, zlokalizowaną w najpiękniejszym punkcie i nie chcę mieć pod bokiem obskurnej budy. Nie będzie mi się szwendał pod drzwiami jakiś zapyziały, tandetny sprzedawca. Może kramarzyć swoimi tamalami gdzie indziej! I zobaczysz, że się zgodzi.

- Zrobię, co będę mogła.

- Powiedz mu jeszcze, że jeśli nie usunie jutro tej ziemi do dziesiątej rano...

- Zobaczę się z nim dopiero po dziesiątej - wpadła mu w słowo.

- To ty przychodzisz do pracy po dziesiątej?

- Ja nie, ale panu O'Toole'owi czasami to się zdarza. W porze śniadaniowej nie ma wielkiego popytu na tamale.

- To powiedz mu, że ziemi ma nie być do południa, bo inaczej pogadamy. I jak mi Bóg miły, nie żartuję!

- Dobrze, wuju - odparła pochmurnie Clarice. Nie miała ochoty użerać się z Gradyem O'Toole'em. Odetchnęła z ulgą, kiedy nazajutrz, z samego rana, pod restaurację podjechała wywrotka. Ziemię

zebrano i zwałono obok straganu O'Toole'a. Dopiero po dziesiątej Clarice zobaczyła przez okno znajomy czarny samochód wtaczający się na parking i zatrzymujący w cieniu drzewa.

Z wozu wysiadł Grady, a w promieniach słońca zalśnił brązowy tors. Kiedy mężczyzna schylił się, żeby zabrać coś z wnętrza, zagrały mięśnie jego pleców i naprężyły się mięśnie na długich nogach. Wypłowiłe szorty opinały kształtne biodra. Odwrócił się i Clarice poczuła suchość w ustach. Jej wzrok zsunął się wbrew jej woli aż do drewniaków Grady'ego, a potem podniósł z powrotem i spoczął na torsie. Patrzyła z fascynacją, jak Grady odpina wózek z tamalami od pnia drzewa i ciągnie go w kierunku krawężnika.

Powiedziała Kentowi, że idzie porozmawiać z Gradyem O'Tool'em i z duszą na ramieniu, jak przed wejściem do klatki lwa, ruszyła ku drzwiom.

Po drodze wstąpiła jeszcze do swojego biura po kartkę z przygotowaną przez wuja Stantona listą parceli, których sprzedaż proponował Grady'emu. Potem zatrzymała się w damskiej toalecie, żeby przejrzeć się w szerokim lustrze. Poprawiła włosy zwinięte w luźny kok i spięte na czubku głowy. W końcu wyszła, aby odbyć tę rozmowę.

Rozdział 2

Nie zauważył jej od razu. Stał odwrócony plecami, w kłębach pary, które unosiły się ze straganu, i zwijał swoje tamale. Szerokie, meksykańskie sombrero miał zsunięte na tył głowy, a małe, kolorowe kuleczki zwisające z podwiniętego fantazyjnie ronda podrygiwały przy każdym geście. Clarice musiała przyznać w duchu, że Grady O'Toole jest zbudowany bez zarzutu. Mógłby zostawić te tamale i zatrudnić się jako model.

Pomyślała o Ricku, z którym umawiała się od czasu do czasu przez ostatnie sześć miesięcy. Rick był przystojny i miły, ale nie robił na niej większego wrażenia. Z żalem dochodziła do wniosku, że nie pasują do siebie. Patrzyła na szerokie, nagie ramiona połyskujące kropelkami potu. Tak, przebywając w obecności Grady'ego O'Toole'a odczuwała podniecenie. I szlag ją trafiał z tego powodu! Do szału doprowadzała ją reakcja własnego organizmu na pichącego tamale półnagię człowieka w idiotycznym kapeluszu. A do tego ten transparent - „Gorące Tamale O'Toole'a. Mniem! Mniem!” Już to wystarczyłoby, żeby wuj Stanton wylądował z powrotem w szpitalu.

Grady odwrócił się i zobaczył ją. Wcześniej czuła się nieswojo, ale to było nic z porównaniu z uczuciem, które owładnęło nią teraz. >

Uśmiechnął się. Unoszące się wolno kąciki jego ust wywołały kolejny fajerwerk niewidzialnych iskierek podniecenia.

- Ooo! Jaki miły początek dnia! - powiedział, przeciągając słowa. Matowy głos, gorący niczym gotujące się z bulgotem tamale zbił ją z tropu.

- Dzień dobry - powiedziała Clarice, dokładając wszelkich starań, by jej głos zabrzmiał oficjalnie. Nie chciała patrzeć na Tors, ale jeśli nań nawet nie zerknie, jego

właściciel nie omieszka poczęstować jej jakimś docinkiem. Z drugiej strony, zdawała sobie sprawę, że jeśli choć raz rzuci okiem, obojętnie, od niechcienia przesunie wzrokiem po wspaniałej klatce piersiowej Grady'ego O'Toole'a, to już oczu od niej nie oderwie. Przyłgnie do niej jak mucha do lepu. Zdecydowała, że bezpieczniej będzie nawet nie zerkać w tamte okolice.

Szeroki uśmiech Grady'ego zamienił się w uśmieszek. Zmierzył dziewczynę wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując oczy na jej piersiach, talii, biodrach, nogach - i chociaż wszystko to okrywała różowa letnia sukienka, Clarice wydawało się, że nie ma na sobie nic. Pod jego taksującym spojrzeniem czuła się całkiem naga. Spłonęła rumieńcem.

- Czemuż to zawdzięczam tę wizytę? - spytał. - Proszę, siadaj. - Rozłożył z trzaskiem składane krzeselko i postawił je w cieniu dębu. - Jak tam noga?

- W porządku - odparła uprzejmie.

- Cieszę się. Poczęstowałbym cię tamalem, ale dopiero się gotują. Może szklaneczkę zimnej lemoniady?

- Nie, dziękuję - odparła, siadając. - Ale dzisiaj ciepło - dorzuciła, wachlując się kartką wuja Stanton'a. Jej wzrok przesunął się po opalonych nogach Grady'ego i zatrzymał na wielkich, zakurzonych drewniakach. Spojrzała szybko na kartkę i wygładziła ją na kolanach, usiłując wziąć się w garść.

- Mój wuj leży w szpitalu.

- Przykro mi. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Stopa. Miał operację i lekarz zalecił mu wypoczynek. Mam dla ciebie propozycję - spojrzała mu w oczy.

Jak on może mi to robić? - pomyślała. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który tak by jej działał na nerwy, tak by ją zbijał z tropu, powodował takie przyspieszenie jej pulsu. Wyprostowała się, a on spojrzał na jej biust. Poczowała reakcję

własnego ciała. Ono nie żywiło żadnej awersji do Grady'ego O'Toole'a.

- Panie O'Toole, to...

- Grady, pamiętasz? - przerwał jej zmysłowym szeptem.

- Grady. Ta propozycja pochodzi od wuja Stanton. Dotyczy interesów. Wpatrywał się w nią przez chwilę pociemniałymi oczyma.

- Rozczarowujesz mnie - mruknął w końcu i chyba mówił szczerze. - A ja już myślałem, że chodzi o coś innego... że moglibyśmy się gdzieś wybrać w sobotę wieczorem.

- To interes - odparła drżącym nieco głosem. Nie mogła oderwać wzroku od jego hipnotyzujących oczu. - Jesteś - dorzuciła cicho wbrew własnej woli - najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego znam.

- Dobre wieści z samego rana - wymruczał i nachylił się ku niej wyraźnie zaskoczony.

Nie spuściła wzroku. Spochmurniał. Wygląda na zakłopotanego - pomyślała patrząc mu prosto w oczy. Poczowała, jak niewidzialna sieć zaciska się ciasno wokół nich, przyciągając oboje do siebie nawzajem. Jego wzrok zsunął się minimalnie i zatrzymał na jej ustach. Wstrzymała oddech. Spuściła nieco oczy i zamarła. Jakież cudowne miał usta! Pochyliła się ku niemu. Z trudem podtrzymywała opadające powieki, w głowie czuła zamęt. Ciekawe, jak smakowałby pocałunek Grady'ego O'Toole'a?

Aż podskoczyła na dźwięk klaksonu. Ulicą przemknął jasnozielony samochód pełen nastolatków, a wychylający się przez okno chłopak krzyknął coś niezrozumiałego. Czar prysnął. Clarice usiadła prosto, - wygładzając kartkę na kolanach i uświadomiła sobie, jak bliska była popełnienia czegoś idiotycznego.

- A więc, panie O..., Grady, wuj Stanton chciałby ci pokazać trzy parcele stanowiące jego własność. Grady nie spuszczał z niej wzroku.

- A ja chciałbym zabrać cię gdzieś w sobotni wieczór.

Własny głos zabrzmiał mu w uszach obco, jakby te słowa wypowiadał ktoś inny. Nie chciał przecież zawierać bliższej znajomości z Clarice Jenkins. Patrzył na nią, mrugając powiekami i czekał na reakcję. Zmarszczyła czoło, spuściła wzrok na kartkę papieru, którą trzymała na kolanach.

- Dziękuję, ale jestem zajęta - odparła po chwili.

Ulżyło mu ogromnie, ale gdzieś pod tą ulgą kryło się rozczarowanie. Wstał i otrzepał szorty.

- Muszę przewrócić tamale.

Wcale nie musiał. Chciał tylko pozbierać myśli. Co się z nim dzieje? Clarice jest sztywna i nieprzystępna - zupełnie nie w jego typie. A on nie potrafi się od niej uwolnić! Za długo już tkwi przy tych tamalach. Dziś wieczorem musi się rozerwać w jakimś damskim towarzystwie.

Obejrzał się przez ramię i napotkał wzrok dziewczyny. Schyliła szybko głowę i zaczerwieniła się. Gniewnie szturchnął tamala widelcem. Sztywna, jak kostka lodu - pomyślał. Ale nie tak zimna - podpowiedział mu jakiś wewnętrzny głos. Nie, Clarice Jenkins wcale nie była osobą zimną. Przed chwilą chciała, żeby ją pocałował, a ilekroć na nią spojrział, dostrzegał spontaniczną i natychmiastową reakcję jej ciała. A to działało na jego libido; Otarł pot z czoła i starał się wymazać z pamięci obraz rysujących się pod letnią sukienką jędrnych, pełnych piersi.

Pomyśl o czymś innym - przykazał sobie. Peggy. Złotowłosa, wesoła i piękna Peggy. Peggy, która uparła się pokierować jego życiem. Peggy i tamale nie dałyby się za nic pogodzić. Uczynił wysiłek, by zająć myśli propozycją Stantona Jenkinsa. I nie proś Clarice o spotkanie - przestrzegał

się stanowczo. - Nie całuj jej. Jeśli nie chcesz napytać sobie biedy, trzymaj się od niej z daleka.

A tamten drugi, diaboliczny głos wewnętrzny wtrącił przekornie: „Oj, ominie cię coś pysznego, Grady. Krew ci wrze na sam jej widok. Ile jeszcze kobiet doprowadza cię do takiego stanu?”

„Całe mnóstwo!” - odburknął za podszeptem głosu rozsądku.

„Czyżby? Wymień choć jedną” - nie dawało za wygraną jego libido. Grady odrzucił widelec i odwrócił się. Clarice patrzyła na niego. Policzki miała zaróżowione. Zapragnął doskoczyć do niej, przyciągnąć do siebie i pocałować. Zamiast tego wcisnął ręce w kieszenie szortów i zakołysał się na piętach.

- Co to za propozycja? - zapytał. Przechyliła głowę.

- Wuj Stanton ma trzy parcele. Masz tu ich wykaz z adresami. - Pełnym gracji ruchem wstała z krzeselka i, rozprostowując po drodze sukienkę, podeszła, żeby wręczyć mu kartkę. Kiedy brał ją od niej, ich palce otarły się przelotnie, a jemu wydawało się, że wsadził dłoń w garnek z tamalami.

Spojrzał na trzy adresy i przeniósł na nią pytający wzrok.

- Jeśli odpowiada ci lokalizacja którejs z nich - powiedziała - wuj odsprzeda ci ją za tę samą cenę, jakiej zażadasz ty za swój skrawek ziemi, i doda do tego dwa tysiące dolarów.

Ponownie spojrzał na adresy. Dwa tysiące dolarów - pomyślał. Zezłościło go, że dwa tysiące dolarów wydało mu się teraz jakąś niebotyczną sumą i wkurzyło, że Stanton Jenkins chce się go pozbyć. Ale głos rozsądku podpowiadał, że przydałyby mu się te pieniądze, a przecież nieważne, gdzie ustawi swój stragan z tamalami, byle było to miejsce położone przy ruchliwej ulicy. Trzy proponowane mu parcele spełniały

ten warunek. Były nawet nieco większe; lepsze kawałki terenu w dobrych punktach. Nie widział żadnego powodu, by nie dobić targu. Spojrzał w duże, błękitne oczy i zauważył, że policzki dziewczyny różowieją.

- Podoba mi się tutaj - powiedział, oddając jej kartkę, a jego głos rozsądku zatoczył się od ciosu.

- Nie widziałam jeszcze kogoś tak niepoważnego i zatwardziałego! Tamalowy typ, który nawet nie zastanowi się nad tak rozsądną i korzystną propozycją!

Oparł się o swój stragan i uśmiechnął do dziewczyny. Jak to się dzieje, że im bardziej jest zła, tym bardziej on pragnie ją drażnić? „Weź pod uwagę te dwa tysiące dolarów” - podszepnął mu głos rozsądku.

- Niech ci będzie, zachowam się poważnie. Ale zanim dam odpowiedź, obejrzę sobie te trzy miejsca.

- Zgoda.

- Ale będziesz mi musiała towarzyszyć.

Zamrugła powiekami i cofnęła się o krok. Nieprzystępna, sztywna, płochliwa - pomyślał. Te cechy u kobiet zawsze go zniechęcały. Stres dziwnie na niego wpływał.

- Równie dobrze poradzisz sobie beze mnie - powiedziała.

- Przykro mi, ale nic z tego - odparł. - Powiedz wujowi Stantonowi, że nie chciałaś mi towarzyszyć, w związku z czym odmówiłem rozpatrzenia jego oferty.

Patrzyła na niego, nie spuszczać wzroku poniżej obojczyka. Podrapał się w pierś. Nie swędziało; chciał tylko zobaczyć reakcję Clarice. Zacisnęła usta. Przejechał otwartą dłonią po klatce piersiowej. Zatrzepotała rzęsami. Uśmiechnął się, widząc, że odkrył jej słaby punkt. Sztywność, nieprzystępność, staroświeckość, to tylko powierzchowne cechy. W rzeczywistości była najwrażliwszą kobietą, jaką dotąd spotkał.

- Kiedy chcesz jechać? - spytała głosem o ton głębszym od normalnego. Krew mu zabulgotała niczym tamalowy sos.

- W niedzielę o szóstej wieczorem - odparł, wiedząc, że w niedzielne wieczory King's Crown jest zamknięta, a więc Clarice będzie miała wolne.

- Bardzo dobrze. Spotkamy się tutaj i pojedziemy obejrzeć te działki.

Grady otarł ręce i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Pokaż mi jeszcze raz tę listę. - Sięgnął po kartkę i ich palce znowu się o siebie otarły. - Podaj mi swój adres. Podjadę po ciebie i...

W tym momencie na mały parking przed straganem skręcił z rykiem klaksonu czerwony porsche i ostro zahamował. Z wozu wysiadł uśmiechnięty mężczyzna w klasycznym czarnym garniturze. Grady poczuł ulgę.

- Cześć, Sam - krzyknął do zbliżającego się przyjaciela i byłego pracownika. Sam, wysoki blondyn, stan wolny, obrzucił Clarice taksującym spojrzeniem. - Clarice Jenkins, a to Sam Banks, mój przyjaciel. Sam, to Clarice Jenkins, która pracuje po sąsiedzku.

- Ach, miło mi panią poznać. Pani jest z King's Crown?

- Tak, mnie też jest miło. Muszę już lecieć. Zbliża się pora lunchu. Zaraz zaczniesz walić tłum.

- To do szóstej wieczorem w niedzielę - powiedział szybko Grady. Skinęła głową i spojrzała na Sarna.

- Miło mi było pana poznać - . powiedziała i odeszła.

Grady wytarł dłonie w wilgotną ścierkę i zajął się tamalami, podczas gdy Sam odprowadził Clarice wzrokiem aż do drzwi King's Crown.

- Co to za lalczka? - spytał w końcu.

- Niebiosa cię zesłały, Sam. Wiesz co, zrób mi przysługę i załatw mi jakąś dziewczyną na sobotni wieczór. Zadzwoń do jednej z tych swoich przyjaciółek, których masz na pęczki.

- Od kiedy to sam nie możesz sobie tego załatwić?
 - Nic jakoś nie przychodzi mi do głowy. Kerri wyjechała na urlop na Alaskę. Patsy przeprowadziła się do Cleveland. Madeline jest w Dallas. Z Peggy zerwałem.
 - Widzę, że jesteś w potrzebie. No a ta, jak - jej - tam? Jenkins?
 - Odpada. Nie w moim typie.
 - Umówiliście się na niedzielę.
 - Wyłącznie w interesach.
 - Wygląda mi na to, że kłopoty padły ci w końcu na mózg. Dobrze się jej przyjrzałeś?
 - Znam ją. Nie jest w moim typie. - Grady pracował przez chwilę w milczeniu świadom, że Sam opiera się o najbliższe drzewo i bacznie go obserwuje.
 - Czemu nie rzucisz tego idiotycznego straganu i nie wrócisz do branży?
 - Nie mogę niczego zrobić, dopóki sprawa nie trafi do sądu. Co się tam dzieje?
 - Skąd mam wiedzieć?
- Grady oderwał się od tamali i spojrzał na przyjaciela.
- Złożyłeś wypowiedzenie?
 - Bart mnie wylał. Pozbywa się po kolei wszystkich, którzy wzięli twoją stronę, kiedy doszło do rozłamu.
- Grady zaklął.
- Przykro mi...
 - Znajdę sobie inną pracę.
 - Wiem, że znajdziesz. Jesteś dobry w swoim fachu i Bart jeszcze pożałuje.
 - Dobrych jest mnóstwo. Dlatego właśnie wpadłem. Napiszesz mi referencje w ten weekend?
 - Jasne. Jeszcze dzisiaj wieczorem.
 - Umówiłem się w sobotę z Jenną. Wybierzesz się gdzieś z nami? Ma sporo przystojnych przyjaciółek.

- Dobrze.

- Czy wiesz, że już dwunasty raz przewracasz tego samego tamala? Grady spojrzał na gołąbka i z niesmakiem odrzucił chochlę.

- Co cię gryzie? - spytał Sam. - Sądziłem, że już doszedłeś do siebie po zerwaniu z Peggy.

- I dobrze sądziłeś. Myślę o interesach.

- To dlaczego wciąż odnoszę wrażenie, że o kobietach?

- Hop hop, Grady!

Grady odwrócił się i zobaczył Clarice nadchodzącą szybkim krokiem alejką dojazdową od strony

King's Crown. Zatrzymała się kilka metrów przed nim.

- Przepraszam, ale o czymś zapomniałam. Obiecałam Kentowi, że przyjdę na jego mecz. Czy możemy przesunąć nasze spotkanie na wpół do siódmej?

- Nie ma sprawy.

- Kto to jest Kent? - spytał Sam Grady'ego.

- Jej młodszy brat.

- Mówisz, że ona cię nie interesuje?

- Nie.

Sam odwrócił się szybko i dogonił Clarice zmierzającą ku kuchennym drzwiom restauracji. Grady powrócił do przygotowywania tamali dla klientów, którzy powinni pojawić się w południe. Na parking przed straganem zajechał samochód i siedzący za kierownicą nastolatek poprosił o dwie porcje. Grady podał mu je, zainkasował należność i wsypał monety do metalowej puszk.

Sam wrócił po kilku minutach.

- Sprzedajesz tamale o wpół do jedenastej rano? - spytał.

- Dzieciaki są głodne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Fakt. Dobrze, że do ciebie wpadłem. Umówiłem się z Clarice Jenkins na przyszły czwartek.

- Naprawdę? - warknął Grady, a brwi Sama uniosły się.
 - Zaraz, zaraz, mówiłeś, że ona cię nie obchodzi.
 - Bo nie obchodzi. Dobrze, że się umówiłeś. Dziwię się tylko, bo myślałem, że nie jest w twoim typie.
 - Jest ładna i to wystarczy. A jaki to typ? Mam nadzieję, że perwersyjny.
 - Ha! Twoja nadzieja jest płonna. Ona jest staroświecka, sztywna, pruderyjna, jednym słowem kłopot, czysty kłopot.
 - Czyżby? Próbowalesz z nią?
 - Żeby co nieco o kimś wiedzieć, nie trzeba z nim zaraz próbować.
 - Nie przesadzasz czasem? Nie wygląda mi wcale na staroświecką. Widziałeś, jak się porusza? Ja bym powiedział, że jest wprost przeciwnie. Umówiła się ze mną, choć dopiero co się poznaliśmy.
 - Rzeczywiście, to prawda. Milczeli przez chwilę.
 - Mogę odwołać tę randkę - mruknął w końcu Sam, a kiedy Grady spojrzał na niego, dorzucił: - Znowu przewracasz tego samego tamala. Nie chcę stawać między tobą a Clarice.
 - Między Clarice a mną nic nie zaszło.
 - Aha! Wystarczy, że masz na głowie kuzyna, który przejął twoją firmę, i proces o jej odzyskanie. Tylko tego by brakowało, żeby przyjaciele odbijali ci nowo poznane dziewczyny.
- Grady puścił chochlę, która utonęła natychmiast w tamalowym sosie, i wziął się pod boki.
- To nie jest moja nowa dziewczyna. Ona mnie nienawidzi. Nazywa mnie tamalowym typem. Umawiając się z nią, wyświadczysz mi przysługę, bo wtedy nie będzie mnie kusiło, żeby ingerować w sprawy sercowe przyjaciela. Ona nie jest w moim typie...
 - Odwołuję tę randkę. O rany. Nie wiedziałem, że kobieta może cię tak omotać.

- Nie odwołuj tej randki. Clarice chce się z tobą spotkać.
- Prawdę mówiąc, to wcale nie. Podszedłem ją podstępem. Powiedziałem, że King's Crown to moja ulubiona restauracja. Ze uwielbiam w niej jadać, no i nie miała wyboru, kiedy zaproponowałem jej wspólną kolację w przyszły czwartek.
- Przyjdź na to spotkanie. Będę ci wdzięczny. Chciałbym wybić ją sobie z głowy.
- Stary, toż to smakowity kąsek.
- To nie jest żaden „kąsek”. Ona łączy w sobie wszystko to, czego zawsze wystrzegałem się u kobiet.
- Grady spojrział na uśmiechniętego Sama. Roześmiał się i potarł dłonią brodę.
- I nie mogę oderwać od niej oczu. Kiedy ona jest w pobliżu, dzieją się ze mną dziwne rzeczy.
- Może wcale nie jest tak staroświecka, jak myślisz.
- Jest. Do szpiku kości. Ona nienawidzi mojego straganu z tamalami.
- Dziwisz się? Handlujesz tamalami z zamiłowania? To głupota. Jesteś dyplomowanym inżynierem, założyłeś własną firmę... a teraz sterczysz tutaj.
- Powiedziałeś jej to, Sam? - Nie. A ty?
- Nie. To uczciwe zajęcie i jeśli chcesz wiedzieć... Sam jęknął.
- Lepiej nie kończ. Nie wmawiaj mi, że lubisz przyrządzać gorące tamale.
- Prawdę mówiąc, to z każdym dniem coraz lepiej mi idzie. Czuję się bardziej odprężony niż przez ostatnie osiem lat. Rozejrzyj się tylko.
- Rozłożył ramiona i zadarł głowę, spoglądając na koronę wysokiego dębu, który użyczał swego cienia straganowi. Gdzieś wysoko, wśród gałęzi, śpiewał gil, a liście szeleściły w powiewach lekkiego wietrzyku. Grady wciągnął w płuca potężny haust powietrza.
- To wspaniałe.

- O Boże. Chyba zwariowałeś. Bredzisz coś o staroświeckiej kobiecie, która nie jest w twoim typie, o ekstazie, w jaką wprawia cię pitraszenie gołąbków, o tym, jak ci tu dobrze na łonie natury! Wypchaj się! - Sam ruszył w kierunku swojego samochodu. - Może i ona ma rację, może przeistoczyłeś się w tamalowego typu. Muszę uciekać, bo umówiłem się na rozmowę wstępną w Foster Drilling. Powołam się na ciebie. Nie wpiszę do ankiety, że przerzuciłeś się na tamale.

- To uczciwe zajęcie, do cholery. Nie zapomnij o randce w czwartek!

- Zupełnie ci odbiło. Napisz mi te referencje, póki jeszcze nie zapomniałeś, jak trzymać pióro w ręku.

Sam zatrzasnął drzwiczki i odjechał.

W niedzielę po południu Grady miał szczerą ochotę zapomnieć, że umówił się z Clarice. Przechadzał się tam i z powrotem po swoim apartamencie, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu zdecydował, że pójdzie, obejrzy proponowane działki, a zaraz potem wróci do domu. Zatelefonował do Sashy, kobiety, którą poznał poprzedniego wieczoru za pośrednictwem Sama i Jenny. Umówił się z nią na wieczór. Kiedy odkładał słuchawkę, czuł się już znacznie lepiej. Miał randkę, a więc nie miał czasu dla Clarice. Tylko interes i nic ponad to.

Pół godziny później jechał już Apache Avenue, ściskając kierownicę kurczowo jak tonący koło ratunkowe.

Rozdział 3

Grady obserwował drogę, wdychając aromat perfum, w którym wyczuwał mieszaninę róż, jaśminu i kapryfolium. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od zerkania na długie, opalone nogi dziewczyny i koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Była w szortach. Kiedy na parkingu przed King's Crown otworzyła drzwiczki swego samochodu i wysiadła, by przesiąść się do jego wozu, Grady odniósł wrażenie, że siedzi na rozpalonych węglach. Clarice nogi miała długie, wspaniale opalone; były to najzgrabniejsze, najbardziej kuszące nogi, jakie kiedykolwiek widział. Rzucił jej przelotne spojrzenie, a jego wzrok, zanim Grady powrócił do obserwowania drogi przed samochodem, musnął jej kolana. Czarne włosy Clarice były rozpuszczone, przewiązane niebieską wstążką. To ci dopiero! Wstążka we włosach, prawie żadnego makijażu. Świeża jak stokrotka. Jej błękitne oczy wprawiały w dziwne harce jego puls. „To czysty kłopot” - stwierdził jego głos rozsądku. - „Obejrzyj jak najszybciej tę działkę i leć w te pędy do Sashy.” Spojrzał znowu na Clarice.

- Wuj Stanton ci ufa, prawda? Wygląda na to, że tobie najbardziej.

- Twierdzi, że mam lepszą głowę do interesów niż wuj Theo - odparła z uśmiechem. - Między wujem Stantonem i wujem Theo istnieje taka różnica, jak między kwiatem a butami. Wuj Stanton jest oszczędny, a wuj Theo chyba jednak trochę za bardzo rozrzutny. Ale to poczciwy człowiek: potrzebującemu oddałby ostatnią koszulę. Tata uważa, że wuj Stanton nie może znieść rozrzutności wuja Theo i żeby ją zrekompensować, przesadza w drugą stronę. Ale może to wuj Theo stara się zrekompensować skąpstwo wuja Stanton.

- A twój ojciec? Uśmiechnęła się.

- Tato, jest normalny, raz skąpy, raz rozrzutny. Jest o wiele poważniejszy od wuja Theo. Bo wuj Theo jest jak... coś jak Święty Mikołaj, albo duży elf. Ma w sobie coś z dziecka.

- No i psotnik z tego wuja Theo. To on kazał ludziom z wywrotki zwalić ziemię pod drzwiami. Spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Nie wierzę! Nie w głowie mu takie głupie figle. Nie zrobiłby czegoś podobnego. Mylisz się.

- Zadzwoiłem do firmy przewozowej i urządziłem im małą awanturę o zwalenie ziemi pod drzwiami, a facet, który prowadził tę wywrotkę, powiedział, cytując: „kiedy zaczynaliśmy rozładunek na skraju pańskiej parceli, zza budynku restauracji wyszedł taki kędzierzawy facet z oczami niebieskimi jak u dzieciaka i kazał nam zwać pod tym wejściem”.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nigdy nie ma z nim żadnych kłopotów. - Clarice spochmurniała, zaniepokojona tymi rewelacjami.

- No cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz. Pasuje do ich opisu.

- Owdowiał przed dwoma laty i strasznie mu brak ciotki Maggie. Może był myślami gdzie indziej i nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi.

- Czy pracujesz u wuja Stanton'a od chwili otwarcia restauracji? - spytał Grady po kilku minutach milczenia.

- Ależ skąd! - roześmiała się. Spojrzył na nią i zrobiło mu się gorąco. Uśmiech miała wspaniały i nie było w nim cienia sztywności. - Pracuję tu od dnia, kiedy poszedł do szpitala.

- A co robiłaś przedtem? - spytał.

- Byłam recepcjonistką i sekretarką w gabinecie stomatologicznym doktora McClellana.

- Dlaczego przeszłaś do King's Crown?

- Na prośbę wuja Stanton. Był zdania, że przez okres jego pobytu w szpitalu krewni najlepiej poprowadzą interes. Jest trochę skąpy i bardzo nieufny w stosunku do obcych.

- Zupełne przeciwieństwo wuja Theo.

- Ledwie znasz wuja Theo - zauważyła, zdumiona uwagą Grady'ego.

- Przed chwilą mi o nim opowiadałaś, a poza tym co rano wpada do mnie na pogawędkę. W Clarice zrodziło się niejasne podejrzenie.

- Miał cię nakłaniać do przeniesienia się w inne miejsce. Znając wuja Theo, założę się, że poprzestał na zapytaniu, czy nie zechciałbyś się czasem przenieść.

- Nawet o tym nie wspomniał - odparł Grady z uśmiechem.

- Nie wspomniał? - Urwała. - No tak, wcale mnie to nie dziwi!

- Lubisz pracę w King's Crown?

- Uwielbiam! - zapewniła go z entuzjazmem.

- Mieszkasz z rodziną?

- Nie, mam własne mieszkanie. Spojrzał na nią zdumiony.

- Mieszkasz sama?

- Tak, A ty? - Ugryzła się w język, uświadamiając sobie ponieważ wydzwięk tego pytania. Było zbyt osobiste, a do tego, zasugerowana tyto straganem z tamalami, widziała oczyma wyobraźni, jak Grady koczuje pod mostem niczym jakiś włóczęga, choć wielki czarny lincoln i ubrania świadczyły o tym, że zajmuje nieco wyższą pozycję społeczną.

Roześmiał się.

- Jeśli chcesz przez to zapytać, czy jestem żonaty, to odpowiedź brzmi: nie.

- To już Wilmington Boulevard osiemset. Tu jest ta parcela. Spójrz. - Pokazała palcem.

- Gdzie? Widzę same budynki.

- Tam. Skręć teraz... - Dotknęła jego ramienia i zapomniała, co chciała powiedzieć. Pod wpływem kontaktu z jego ciałem przeszedł ją dreszcz. Grady, nie spoglądając na nią, skręcił za róg, a następnie w zaułek na tyłach pustego placyku usytuowanego między dwoma budynkami.

Zaparkował i wysiedli z samochodu. Placyk był pusty, ale niedawno skoszono na nim zielsko i na ziemi piętrzyły się żółte sterty zeschniętych chwastów. Ruszyli przez parcelę skąpaną w promieniach zachodzącego lipcowego słońca. Pod ich stopami chrzęściło ściernisko, a z ruchliwego bulwaru dochodził szum ruchu ulicznego.

Grady oparł ręce na biodrach i, patrząc na przejeżdżające samochody, pokręcił głową.

- Przykro mi, ale to nie dla mnie.

- Przecież ruch tu duży - zauważyła.

- Ale ani jednego gila. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Co? O czym ty mówisz?

- Na dębach, pod którymi obecnie urzęduję, gnieźdzą się gile. Poza tym, lubię widok parku z łabędziami na jeziorku. A na czym oparłbym wzrok tutaj? - Zniżył głos i przysunął się bliżej. - Ani gilów, ani cienistych dębów, ani jeziorka, ani pięknej kobiety ze wstążką we włosach.

Dotknął policzka dziewczyny, a potem jego dłoń zsunęła się na szyję i zaczęła po niej przesuwając się ku wstążce. Clarice zamarła, czując, że ręka Grady'ego dociera do karku.

- Lepiej jedźmy obejrzyć drugą parcelę - wydusiła z siebie. - Może tam rosną dęby. - Ruszyła szybkim krokiem w kierunku samochodu, walcząc z paniką, która zaczynała ją ogarniać. Grady O'Toole był solą w jej oku i nie miała zamiaru spoufaląć się z mężczyzną prowadzącym stragan z tamalami!

Zajął miejsce za kierownicą i wyjechali z zaułka.

- A więc pracowałaś u dentysty. A co robił wuj Theo?

- Wuj Theo zmienia prace jak rękawiczki. Ostatnio był zaopatrzeniowcem w Woobe Flower Company. Kent pracował w Hamburger Heaven.

- I wszyscy troje rzuciliście dotychczasowe zajęcia, żeby podjąć pracę u twojego wuja?

- Zaproponował nam korzystne warunki. Jeśli dobrze się spisujemy, zatrudni nas na stałe z prawem udziału w zyskach restauracji. Nie dotyczy to tylko Kenta, bo on ma jeszcze przed sobą szkołę.

- Czyli jeśli wszystko dobrze pójdzie, staniesz się udziałowcem King's Crown?

- Tak. Lubię tę pracę. Poprzednią też lubiłam, ale ta bardziej mi odpowiada. - A Kent i wuj Theo? Też są zadowoleni?

- Owszem. Wuj Theo był przed laty barmanem. Zna się na tym i ludzie chętnie opowiadają mu o sobie. Uśmiełbyś się, z czego mu się zwierniają.

- Naprawdę? - mruknął Grady, rumieniąc się, a Clarice zastanowiło, z czegoż to mógł się zwierzyć wujowi Theo sprzedawca tamali?

- To, co mu powiedzą, zachowuje zwykle dla siebie, a ja wiem o tym, bo słyszę czasem te rozmowy. Powierzają mu swoje najskrytsze tajemnice. Wygadanie się przed wujem Theo poprawia im samopoczucie. Chyba jest wdzięcznym słuchaczem.

- Na każdego przychodzi taki moment, że potrzebuje wdzięcznego słuchacza.

Chętnie by się dowiedziała, co gryzie Grady'ego aż tak, że potrzebny mu wdzięczny słuchacz.

- A ty co robiłeś, zanim zacząłeś sprzedawać tamale?

- Pracowało się tu i ówdzie, - odparł wymijająco, utwierdzając ją w podejrzeniu, że pewnie wiódł dotąd beztroski żywot wagabundy.

- Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo - powiedziała, a po chwili wskazała palcem parcelę. - O, na tej są drzewa.

Minęli ją i po objechaniu w koło całego kwadratu stwierdzili, że zaparkować można tylko na ruchliwym bulwarze od frontu. Parcela usytuowana była w narożniku, a od strony ulicy rosły na niej dwa wiązy. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park, zaś w sąsiedztwie ciągnęły się sklepy.

- No, masz tutaj swoje drzewa! - powiedziała Clarice, rozglądając się po działce.

- Dwa na krzyż, a do tego usychające - burknął Grady, przysuwając się bliżej. Nie zauważyła tego, bo wyglądała przez okno samochodu. Wyciągnął rękę nad oparciem fotela dziewczyny i opuścił ją lekko na jej ramiona, koniuszkami palców zapierając się o zasuniętą szybę. Clarice poczuła na sobie jego oddech, zapomniała o parceli i sprawie, w jakiej tu przyjechali.

- Ulica jest zbyt ruchliwa, żeby komukolwiek chciało się zatrzymać przy straganie z tamalami - mruknął Grady. Dziewczyna z bijącym sercem patrzyła na pusty plac. Gdyby się odwróciła, żeby spojrzeć na Grady'ego, jego usta znalazłyby się o kilka centymetrów od jej twarzy...

- A co ty sądzisz o tym miejscu? - spytał.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o jego bliskości.

- Wspaniale - powiedziała cicho.

- Naprawdę tak myślisz?

- Wcale tak nie myślę - odparta, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zaprzeczyła właśnie samej sobie. Chciała

powiedzieć coś mądrego, co świadczyłoby o tym, że nie zwraca uwagi na jego bliskość. - Ta parcela nie nadaje się dla ciebie. Nie ma tu ptaszków, nie ma dębów i nic ma jeziora. Jedźmy do następnego pocałun... miejsca! - Spłonęła rumieńcem. Dlaczego powiedziała „pocałunek” zamiast „miejsce”?

Roześmiał się cicho. - Jedźmy, Grady, proszę cię. - Czekala, ale samochód nie ruszał i nie słyszała, żeby poruszył się Grady. Potem jego usta musnęły leciutko jej szyję poniżej ucha. Przerazona zamknęła oczy. - Grady, nie, błagam.

Usłyszała, jak wzdycha i odsuwa się.

- Ile masz lat? - spytał po chwili. Spojrzała na niego.

- Dwadzieścia sześć. Jak...

- Ja mam trzydzieści trzy, jestem kawalerem i bardzo mi się podoba miejsce, gdzie aktualnie stoi mój stragan. - Zapуścił silnik i ruszyli., - A więc wkrótce staniesz się współwłaścicielką King's Crown - powiedział po kilku minutach milczenia. Głos miał już normalny i przyjazny. Clarice odprężyła się trochę.

- Mam nadzieję. Jeśli wszystko będzie się układać tak, jak do tej pory.

Ostatnia parcela znajdowała się po drugiej stronie miasta. Jechali autostradą, prowadząc rozmowę, z której Clarice dowiedziała się, że lubią ten sam rodzaj muzyki, pływanie i książki.

Grady włączył kierunkowskaz i skręcił na ostatnią wolną parcelę, którą proponował mu wuj Stanton. Znajdowała się w nowej części miasta i dookoła nie było nic, nie licząc odległego o dwa kilometry wielkiego centrum handlowego. Poza tym we wszystkich kierunkach rozciągała się płaska preria, a wzdłuż szosy rosły dzikie kwiaty. Przejechawszy kilka metrów wyboistą dróżką, Grady zatrzymał wóz i wysiadł.

Clarice nie miała wątpliwości, co by sama pomyślała, gdyby to jej zaproponowano przenosiny w takie miejsce.

- To będzie dobry punkt, kiedy wyrosną tu domy - powiedziała bez przekonania, podchodząc do Grady'ego. - A w pobliżu masz najbardziej uczęszczane centrum handlowe w mieście.

- Mhmm - mruknął, wsuwając jedną rękę w kieszeń. Drugą tarł kark. Stał zafrasowany, jakby toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę, a wiatr mierzwił mu kasztanowe włosy. - Zdajesz sobie sprawę, jak długo czekałbym tu na pierwszego klienta?

- Za rok będzie tu prawdopodobnie wspaniały punkt.

- Tak, jako inwestycja na przyszłość, to miejsce jest wspaniałe. Ale teraz sprzedawałbym może dwa tamale na tydzień. Przykro mi, Clarice - urwał i zapatrzony w przestrzeń otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

Wsiadła do wozu zła, a zarazem zadowolona, że nie wybrał żadnej parceli. Zła, bo wuj Stanton będzie się wściekał, zadowolona, bo zakończyła prezentację ofert swego wuja.

- Masz rodzinę? - spytała w drodze powrotnej do miasta.

- Mam matkę - odparł Grady. - Mieszka tutaj.

- Naprawdę? - zapytała z takim zdumieniem, że oderwał wzrok od szosy i spojrzał na dziewczynę.

- Co w tym dziwnego?

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie mieszkającego z matką - powiedziała szybko, choć, gdyby chciała być szczerą, powinna odpowiedzieć, że nie potrafi sobie wyobrazić jego matki mieszkającej razem z nim pod mostem.

- Nie mieszkam z nią. Ona ma swoje mieszkanie, a ja swoje. Mam tu też kuzyna, ciotkę i wuja. Clarice wolała nie pytać, czym się zajmują.

- Gdzie nauczyłeś się robić tamale?

- To nie wymaga wielkiej wiedzy. Lubię tamale. Akurat w momencie, kiedy rozglądałem się za jakimś zajęciem, znalazłem wózek i człowieka, który zamierzał zwinąć interes; no i kręcę teraz ten tamalowy biznes.

Coś tu się niezupełnie zgadzało, nie wiedziała jednak co Grady'ego otaczała wyczuwalna mgiełka tajemniczości. Na przykład ten szykowny czarny lincoln - nie pasował do straganu z tamalami; ubranie, które Grady miał teraz na sobie, było proste, ale koszula wyglądała na kosztowną.

- O czym myślisz? - spytał.

- Zastanawiam się, jak to w końcu z tobą jest.

- Odpowiem na każde pytanie. Co cię tak intryguje? Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiem, na przykład, jak możesz tryskać takim optymizmem, handlując tamalami.

- To jest wspaniałe, Clarice. Żadnych zmartwień, żadnej odpowiedzialności. Jeśli zechcę, mogę jutro zamknąć budę i pójść na ryby.

- To nieodpowiedzialne.

- Wcale nie. Nikt oprócz mnie na tym nie straci. Mogę przenieść się ze swoim straganem, gdzie mi się spodoba. Jest to też rodzaj wyzwania. Poznaję interesujących ludzi. - Przy tych ostatnich słowach oczy mu zabłysły i Clarice powzięła podejrzenie, że to ją miał na myśli.

Kiedy skręcali w podjazd do King's Crown, było już prawie ciemno. Parking na tyłach restauracji oświetlały wysokie, staromodne latarnie, takie same, jak te w parku. Spojrzała na Grady'ego, kiedy ten zatrzymał wóz obok jej samochodu.

- Jesteś pewien, że nic odpowiada ci żadna z tych parceli? Zarobiłbyś lekką ręką dwa tysiące dolarów.

- Żałuję, ale nie. Nie ma tam ani gili, ani dębów. A rozejrzyj się tutaj - wysiadł i obszedł wóz, żeby otworzyć

przed nią drzwiczki. - Chodź i popatrz, Clarice. - Podał jej rękę.

Ruszyli w kierunku parku. Przeszli przez łukowaty, drewniany mostek nad przewężeniem jeziora. Pod mostkiem przepłynęły bezszelestnie dwa białe łabędzie, wzniesając na wodzie drobne fale, a te rozkołysały zielone liście lilii unoszące się na powierzchni. Wiatr poruszał witkami płaczących wierzb nad brzegiem. Grady odwrócił się i spojrzał na Clarice.

- Czy tu nie jest pięknie?

Dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. Jego palce spoczęły na jej ramieniu. Grady nie jest taki beznadziejny - pomyślała Clarice. Mieli wspólne upodobania i kiedy wyobraziła go sobie w roli przyjaciela, w roli kogoś, z kim lubi przebywać, iskry zainteresowania przerodziły się w płomień. Nie myślała już o nim, jako o Torsie. Był dla niej teraz Gradyem O'Toole'em, mężczyzną kochającym gile, dęby i jeziora, lubiącym czytać powieści Wilbura Smitha i Louisa L'Amoura, jeść tako i tamale, mężczyzną, który ma najbardziej zmysłowe usta, jakie widziała.

Nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął drugą ręką do wstążki.

- Staroświecka Clarice ze wstążką we włosach - wymruczał cicho, tak, że ledwie go słyszała. Poczwała, jak wstążka opada jej na ramię, uwalniając kaskadę czarnych włosów. Pod wpływem impulsu położyła dłonie na jego piersi. Wydało jej się, że dotyka rozgrzanego silnika samochodu. Westchnęła spazmatycznie i, spoglądając mu w oczy, odczytała z nich zamiary mężczyzny. Zawirowało jej przed oczyma, wargi zadrżały, a w ustach zaschło. Odchyliła w tył głowę i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek, nie zważając na cichutki wewnętrzny głos ostrzegający ją, że będzie tego żałowała. Grady był pociągającym mężczyzną, ale

był też „Gorącymi Tamalami O'Toole'a. Mniam! Mniam!" i utrapieniem jej wuja. Jeden pocałunek jeszcze nikomu nie zaszkodził - pomyślała. Tylko jeden pocałunek...

Nachylił się nad nią i poczuła na wargach dotyk jego ust. Było to ledwie muśnięcie, ale przypominało pierwsze drzenie zwiastujące nadciąganie trzęsienia ziemi. Wstrząsnęło nią do głębi. Zacisnęła mocno powieki. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętała, był Grady patrzący na nią w sposób, który zapierał dech w piersiach.

Przysunął się bliżej, więc musiała unieść ręce. Spoczęły na jego torsie. Wspaniałym torsie! Serce waliło jej jak młotem. Grady otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Jego usta przywarły do jej ust, a te rozchyliły się pod dotykiem jego języka, który wzniecił złociste płomienie. Tama pękła. Zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce, oddając pocałunek.

Grady przeszedł wszelkie jej oczekiwania. Pod wpływem jego pocałunków drżała na całym ciele, a nagłe pożądanie sprawiło, że zaczęła oddychać szybko i spazmatycznie.

Kiedy ją w końcu puścił, spojrzała na niego wstrząśnięta do głębi własną reakcją. On też sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Lepiej już wracajmy, Grady - powiedziała. - Robi się późno.

- Tak - odpowiedział schrypniętym głosem, biorąc ją za rękę.

- Dziękuję za miły wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wybierzmy się na kolację w przyszłą niedzielę. Popatrzyła na jego stragan z tamalami, na zwinięty transparent z napisem „Gorące Tamale O'Toole'a.

Mniam! Mniam!" i pokręciła przecząco głową.

- Dzieli nas głęboka przepaść - powiedziała. - Dziękuję za zaproszenie, ale lepiej dajmy sobie z tym spokój.

- Chyba masz rację. No to dobranoc, Clarice.

Stał przy samochodzie i patrzył za nią, gdy odjeżdżała.

Rozdział 4

Gdy Clarice wchodziła do swojego małego mieszkania, zadzwonił telefon. Podbiegła, żeby go odebrać. - No i jak, zamieni się na parcele? - rozległ się w słuchawce gderliwy głos wuja Stanton. - Niestety nie, wuju - powiedziała, wspominając zielone oczy Grady'ego.

- Jasny gwint, Clarice! Jak mogłaś go nie przekonać? Nie dość, że zmieniłby punkt na lepszy, to jeszcze zarobiłby dwa tysiące dolarów.

- Tu, gdzie teraz handluje, są gile - wyjaśniła rozmarzona, niepomna gniewu wuja Stanton. Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- Gile? Te ptaki?

- Tak, wuju Stantonie. Grady O'Toole lubi miejsca z drzewami, ptakami i widokiem na jezioro.

- Jasny gwint, zupełnie jakbym słyszał Theo. Kupię mu całe stado ptaków i dorzucę dwa drzewa. Powtórz mu to, zrozumiano! Zadzwoń do tego człowieka natychmiast, Clarice.

- Ptaki odlecą.

- Jasny gwint, może je trzymać w klatkach.

- Nic z tego, wuju. On lubi ptaki na wolności.

- Czy ty dobrze się czujesz?

- Tak, wuju - wymruczała.

- Jakoś dziwnie mówisz. No nic, w takim razie zmieniam taktykę. Clarice, z samego rana pójdziesz do tego handlarza gorącymi tamalami i zaproponujesz mu pracę.

Clarice zaniemówiła. Wpatrywała się w słuchawkę, a jej euforia stygła gwałtownie, jakby wylano na nią właśnie kubek lodowatej wody.

- Zaproponujesz mu stawkę godzinową; zacznij od jak najniższej i podwyższaj ją stopniowo, ale masz go zwerbować do pracy w King's Crown.

Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie miała ochoty proponować Grady'emu pracy, a poza tym nie sądziła, by się zgodził. Przez następne pół godziny usiłowała wyperswadować ten pomysł wujowi Stantonowi, ale bezskutecznie.

Kiedy odkładała słuchawkę, jej umysł pracował już normalnie i wiedziała, że stoi przed poważnym dylematem. Rozsądek podpowiadał, że Grady O'Toole nie jest mimo wszystko stworzony dla niej i że w przyszłości musi go unikać. A jak to robi, jeśli co chwila będzie się na niego natykała w pracy?

- To tamalowy typ - mruknęła do siebie. - Uważaj, żebyś nie skończyła uwiązana do mężczyzny o mentalności motyla - zacisnęła mocno szczęki i weszła do łazienki.

Grady nakładał łyżką farsz na kukurydziane liście i związał tamale. Przed trzydziestoma minutami, kiedy tu przyjechał, zauważył na parkingu samochód Clarice i od tamtej pory próbował ó niej nie myśleć. Stanowiła kłopot. Czysty, skondensowany kłopot, którego najmniej mu teraz było trzeba. I bez tego życie miał dostatecznie skomplikowane, a staroświecka Clarice Jenkins tylko przysparzałaby mu problemów. Gdyby spotkał Clarice przed rokiem, to co innego, ale teraz to nie miało sensu. Przelotny romans nie wchodził w jej przypadku w rachubę, a wiązać się z kimś na stałe nie miał zupełnie ochoty. Usłyszał czyjeś kroki za plecami i odwrócił się.

Clarice. Przez moment podejrzewał, że to wytwór jego wyobraźni. Patrzył na nią, mrugając powiekami, a ona stała nieruchomo jak statua i mierzyła go pełnym powagi spojrzeniem.

- O, cholera - zaklął, przywołany do rzeczywistości przez farsz, który spadł mu z łyżki na czubek chodaka.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, a Grady ledwie oparł się pokusie, żeby odrzucić łyżkę i porwać dziewczynę w ramiona.

- Dzień dobry - odpowiedział. - Usiądziesz? - Oprzytomniał na tyle, by rozłożyć i podstawić jej krzeselko.

Potrząsnęła odmownie głową i podeszła bliżej, dokładając wszelkich starań, by nie zjechać wzrokiem poniżej obojczyka Grady'ego. O mało nie parsknęła śmiechem, widząc, że z zaróżowionymi policzkami wpatruje się intensywnie w jego ucho.

- Nadal boisz się spojrzeć na moją pierś? - mruknął, obserwując z rozbawieniem, jak jeszcze bardziej pąsowieje.

- Też coś! - parsknęła i zerknęła na jego tors.

Zorientował się, że oboje popełnili błąd. Poczul jej wzrok na skórze, zupełnie jakby wyciągnęła rękę i przesunęła po jego klatce piersiowej palcami, i to rozbudziło w nim pożądanie. Jej reakcja również była wyraźna. Przewiewna bluzka i koronkowy stanik i nie mogły skryć tego, co się działo z Clarice. Usiadła szybko i zaczęła masować kostkę.

- Jednak dokuczają ci ta stopa?

- Mhm. - Przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. - Czy przyszedłbyś do mnie do pracy za najniższą stawkę godzinową?

Wyrecytowała to tak płynnie, że nie miał najmniejszych wątpliwości, kto ją przysyła z tą śmieszną propozycją. I miał już odmowę na końcu języka. Ale w tym momencie głos rozsądku i jego libido połączyły swe siły i podszeptały mu: „Zgódź się. To okazja do zapoznania się z zasadami prowadzenia restauracji.”

- Chętnie - powiedział głośno. - Kiedy mam zacząć?

Jej niebieskie oczy rozszerzyły się i zrobiły tak wielkie, że przestraszył się, czy go czasem zaraz nie pochłoną. Twarz jej

całkiem poczerwieniała, a usta się rozchyliły. Uświadomił sobie, że oczekiwała, że się nie zgodzi. Ale było już za późno.

- I zrezygnujesz z tamali, gili i dębów?

- A zrezygnuję - powiedział, pocierając dłonią klatkę piersiową. - Gdy będę pracować z tobą, też będę miał na co popatrzeć - dorzucił, bo nie mógł się oprzeć pokusie podrażnienia jej, chociaż głos rozsądku ostrzegał go, by myślał wyłącznie o interesach.

- Z wujem Stantonem niełatwo się pracuje.

- Poradzę sobie.

- Nie będziesz sam sobie szefem.

- Nieważne - powiedział i przysunął się bliżej. - Ty będziesz moją szefową. Wykonam każde twoje polecenie.

- Będziesz musiał nosić ubranie.

- I na to poświęcenie się zdobędę - mruknął, kucając przed nią. - Podoba mi się twoja... - zawiesił głos. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że zaraz osunie się z krzeselka w jego ramiona. - ... propozycja - dokończył.

- Nie wydaje mi się, żeby współpraca między nami dobrze się ułożyła - powiedziała.

- Na pewno się ułoży - zapewnił ją, pocierając dłońmi kolana.

- Będziesz musiał słuchać moich poleceń.

- Wspaniale.

- Będziesz musiał zmywać naczynia.

- Cudownie.

- Czy w ogóle można cię czymś wyprowadzić z równowagi?

- Nie bardzo - zełgał.

Właśnie w tej chwili cholernie wyprowadzała go z równowagi. Pragnął przełamać czar, jaki rzuciła na niego Clarice Jenkins, i nie siedzieć tak przed nią w kucki jak ostatnia ofiara olśniona ofertą zmywania talerzy za minimalną

stawkę. Istne szaleństwo! „Nauczysz się fachu”, podpowiadał mu głos rozsądku. „Będziesz z Clarice”, dorzucało jego libido.

- Od kiedy chcesz zacząć?

- Od zaraz.

- No nie! To chyba nie najlepszy pomysł. Może raczej od jutra.

- Świetnie - odparł wesoło.

- Posłuchaj, Grady. - Wstała, wzięła się pod boki, zacisnęła usta i wlepiała wzrok w jakiś punkt na jego czole. - Czujemy do siebie pewien niewielki pociąg fizyczny, ale nie pasujemy do siebie. Ja nie jestem kobietą w twoim typie, ty nie jesteś moim typem mężczyzny.

- A skąd to wiesz? - spytał, przyprawiając swój głos rozsądku o spazmy.

- Wiem, i już. Jesteś... jesteś...

- Typem tamalowym.

- No cóż, może to niezbyt fortunne określenie, ale tak czy inaczej nie jesteśmy dla siebie stworzeni, a więc jeśli mamy ze sobą pracować, nie flirtuj więcej ze mną.

- Ma się rozumieć. Możesz być spokojna. W pracy na pewno nie będę ci się naprzykrzał.

- No to chyba umowa stoi - powiedziała.

- Stoi, szefowo. - Wyciągnął rękę.

Przez chwilę przyglądała się jego dłoni, jakby nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała, a potem uścisnęła ją. Głos rozsądku Grady'ego nie omieszkał nadmienić, że być może istnieją bezpieczniejsze sposoby poznawania tajników restauratorstwa.

- Do powrotu wuja Stanton'a ja kieruję restauracją - oznajmiła. - I pamiętaj, że jutro wieczorem jestem umówiona z twoim przyjacielem.

- Dobrej zabawy - z lekkością, której wcale nie odczuwał, powiedział Grady, patrząc w jej błękitne, niczym letnie niebo, oczy.

- Dziękuję. - Nie odwróciła wzroku. - Masz być w pracy o dziesiątej.

- Ty przychodzisz o ósmej.

- Otwieram, przygotowuję jadłospis i przeglądam księgi. Pracownicy zjawiają się później.

- O ósmej rano okolica jest wyludniona.

- Ja się nie boję. Do jutra. - Oddaliła się szybkim krokiem i chociaż miał ochotę odprowadzić ją wzrokiem, nic z tego nie wyszło, bo musiał zająć się klientem, który właśnie podjechał pod jego stragan z tamalami.

Nazajutrz o ósmej Clarice skręcała z Apache Avenue w podjazd do King's Crown. Obok niej siedział Kent. W jego samochodzie nawalił gaźnik i wóz stał w warsztacie, a wuj Theo wyszedł wcześniej rano, żeby załatwić jakąś osobistą sprawę. Bez straganu z tamalami, transparentu i Torsu narożnik przy alejce dojazdowej wyglądał dziwnie pusto. Na parkingu za restauracją czekał już Grady w wielkim, czarnym lincolnie. Na widok samochodu dziewczyny wysiadł i rozprostował długie nogi. Miał na sobie dżinsy, białą, bawełnianą koszulkę i wyglądał wspaniale.

- Hej, siostrzyczko! - wrzasnął Kent i rzucił się na tylne siedzenie.

- Clarice! Uważaj! - krzyknął Grady i zamachał rękami.

Za późno. Zamiast patrzeć, gdzie jedzie, Clarice zagapiła się na Grady'ego i nie pomogło już gwałtowne hamowanie. Zderzyła się czołowo z wielkim kontenerem na śmieci.

- Kurczę blade, Clarice! - warknął Kent, gramoląc się z tylnego siedzenia. - Mówiłem, że ja poprowadzę. Walnęłaś w śmietnik!

- Nic ci nie jest? - spytała bez tchu. Zaczerwieniła się, widząc, jak Grady zaciska szczęki. Podejrzewała, że próbuje powstrzymać się od śmiechu.

- Nie, nic, ale, do licha, miałaś cały parking dla siebie! Śmietnik wielki, jak słoń. Nie zauważyłaś go czy jak?

- Jasne, że zauważyłam - burknęła.

- To czemu na niego wjechałaś? - nie ustępował, jeszcze bardziej ją denerwując.

- Każdemu może się zdarzyć.

Kent roześmiał się, a Grady jeszcze mocniej zacisnął usta i odwrócił się do niej plecami. Miała ochotę pogrozić mu pięścią. Sprowadzał na nią same nieszczęścia. Czowała to od chwili, kiedy po raz pierwszy wjechał w jej życie ze swoim wózkiem z tamalami.

- Czołem, panie O'Toole - powiedział Kent, wysiadając z wozu. - Ma pan szczęście, że zaparkował pan po drugiej stronie placu.

- Widzę, Kent.

- Z mojej siostry taki kierowca, jak... - Kent znowu parsknął śmiechem. - Hej, Clarice, zobacz, co zrobiłaś ze śmietnikiem wuja Stantona. Szlag go trafi. Łubudu!... - i zaparkowaliśmy! - Zgiął się ze śmiechu we dwoje.

Patrzyła skonsternowana na zdemolowany kontener. Jej samochód, nie licząc lekkiego wgniecenia na zderzaku, właściwie nic ucierpiał, ale on miał już całą kolekcję rys, zadrapań i wgnieceń, i jedno więcej czy mniej nie robiło różnicy.

- Jak mogłaś nie zauważyć śmietnika? - zaczął znowu Kent, a Grady odwrócił się i spojrzał na nią wyczekująco.

- Nie wiem. Po prostu go nie widziałam - powiedziała, starając się zapanować nad głosem.

- To kup sobie okulary!

Grady przygryzł wargę i znowu odwrócił się plecami, a w niej krew zawrzała.

- Może tak byśmy wzięli się do pracy?

- Mam pójść przodem? - spytał Kent. - Pokażę ci, gdzie są drzwi. - Przestaniesz wreszcie?!

- No, jeśli nie zauważasz śmietnika, to nie wiem, jak znajdziesz drzwi. Jak pomyślę, że dookoła nic, tylko ten śmietnik, a ty ładujesz się prosto w niego...

Znowu zgiął się w pół i zarechotał, a Grady, wciąż odwrócony do nich plecami, ścierał coś z zapalem ze swojego drewniaka.

- Zamknij się, Kent!

- Oczywiście, siostrzyczko. Wypadki chodzą po ludziach, ale ty idź lepiej do okulisty. Otworzyła drzwi od zaplecza, pomaszerowała prosto do swojego kantorka i zamknęła się w nim. Nie wiedziała, jak przetrwa ten dzień. Musiała przecież wyjść i powiedzieć Grady'emu, co ma robić, a nie ' chciała go teraz oglądać. Odetchnęła głęboko, zadarła wysoko brodę i otworzyła drzwi. Usłyszała cichy głos Grady'ego.

- Kent, nic wydaje ci się, że twoja siostra nie chce już słuchać o tym śmietniku? Może byś tak przestał się nad nią znęcać?

- Tak! - Kent znowu zaniósł się chichotem. - Lepiej dam jej teraz spokój, bo i tak jej się oberwie, jak wuj Stanton się o tym dowie.

- Wasz wuj będzie zły?

- Jeszcze jak...

Clarice wzięła kolejny głęboki oddech i z wypiekami na policzkach wmaszerowała stanowczym krokiem do kuchni. Musiała zapędzić Kenta do jakiejś absorbującej roboty, żeby wreszcie zapomniał o tym przeklętym śmietniku.

Kiedy jednak około dziesiątej szła korytarzem, usłyszała dobiegający z kuchni głos Kenta, opowiadającego przebieg zajścia wujowi Theo, który pojawił się właśnie w pracy.

- Miała cały parking wolny, a walnęła w ten śmietnik. Łubudu! Ledwie zdążyłem przeskoczyć na tylne siedzenie. W pobliżu stał tylko samochód Grady'ego.

- Nie opowiadaj - skomentował wuj Theo. - Tylko Grady'ego? To niepodobne do Clarice.

- Mówię ci! Ona już się całkiem rozkleja. Ona...

Clarice wkroczyła z poniesioną głową do kuchni i podeszła od razu do szefa, żeby omówić z nim zestaw przystawek na ten tydzień. Zignorowała zupełnie Kenta, wuja Theo i Grady'ego, którzy na jej widok z miejsca zamilkli. Jednak w duchu zastanawiała się, ile jeszcze razy będzie musiała wysłuchiwać opowieści o tym kontenerze.

Rozdział 5

Następne spięcie wybuchło podczas kolacji z Samem Banksem. Clarice żałowała, że w ogóle zgodziła się z nim spotkać. Ale kiedy przekroczył próg restauracji, wyszła mu naprzeciw. Grady znad stolika, który właśnie sprzątał, dostrzegł wchodzącego przyjaciela. Sam miał na sobie swój najlepszy, brązowy garnitur. Grady pamiętał jeszcze dzień, kiedy Sam zainwestował ogromną sumę w bawełnianą koszulę, którą dzisiaj włożył.

Grady obserwował Clarice lawirującą między stolikami w kierunku Sama. Ruch jej bioder był niemal niezauważalny, ale na tyle prowokujący, żeby Grady zapomniał o restauracji i swoim aktualnym zajęciu. Przez krótką chwilę miał ochotę podejść do Sama i powiedzieć mu, żeby spadał i zapomniał o tej randce.

W porę jednak interweniował głos rozsądku i Grady powrócił do przerwanej pracy. Niosąc talerze do kuchni, zastanawiał się, czy aby dobrze zrobił, rzuciwszy swój stragan, by rozpocząć pracę w King's Crown. Przez cały dzień zdążył nauczyć się tylko obsługiwać automatyczną zmywarę do naczyń, nabrał podejrzeń, że przez tę samą zmywarę przepuszcza się ziemniaki przed włożeniem ich do piekarnika, oraz zmierzyć czas, w jakim potrafi sprzątnąć ze stolika - jego rekord wyniósł dwie minuty.

Nie dawało mu spokoju, o czym rozmawiają Sam z Clarice. Sam był przystojny, wygadany i nie przepuścił żadnej atrakcyjnej kobiecie. Grady porwał komplet czystych sztućców i pognął na salę, żeby nakryć stół. Clarice siedziała z Samem przy frontowym oknie i zaśmiewała się z czegoś, co pewnie powiedział Sam. Głos rozsądku nakazał Grady'emu nie zwracać na nich uwagi i być wdzięcznym przyjacielowi, że przyszedł mu z odsieczą.

- Nicki - Grady zatrzymał mijającą go kelnerkę i obdarzył ją swoim najpromienniejszym uśmiechem. - Pozwól, że ja obsłużę Clarice. Siedzi z moim znajomym. To przeze mnie się poznali.

Nicki spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Nie ma sprawy. Jeśli sądzisz, że pannie Jenkins nie zrobi to różnicy.

- Nie robi. Obiecuję. Powiem jej, że cię poprosiłem i mi pozwoliłaś. Dzięki - dorzucił i puścił do niej oko. Nicki znowu się uśmiechnęła i odeszła. Grady wziął dzbanek ze schłodzoną wodą, dwie karty dań i podszedł do stolika przy oknie.

- Cześć - pozdrowił Sama, dotarłszy do celu.

- Cześć, a ty co tu robisz? - zdziwił się Sam.

- Pracuję - odparł Grady i położył przed nimi kartę dań. - Clarice właśnie mnie zaangażowała. To mój pierwszy dzień. - Dziewczyna posłała mu pochmurne spojrzenie i nie był pewien, czy jej niezadowolenie wynika z faktu, że to on ich obsługuje, choć nie został jeszcze awansowany na kelnera, czy raczej z tego, że przeszkodził im w rozmowie.

- Dobry Boże, pracujesz tutaj? Nie żartuj! - powiedział Sam, biorąc menu.

- Gdzie Nicki? - warknęła Clarice.

- Poprosiłem ją, żeby pozwoliła mi was obsłużyć. Powiedziałem jej, że dzięki mnie się poznaliście. Wzięła do ręki kartę dań i obserwowała, jak Grady napełnia wodą jej szklankę, a potem szklankę Sama.

- Czy życzyście sobie coś do picia? - spytał i Sam spojrzał wyczekująco na Clarice.

- Ja poproszę szklaneczkę perriera - powiedziała.

- A dla mnie lampkę czerwonego wina - zamówił Sam. - Wiesz, jakie lubię.

- Skąd się znacie? - zapytała Clarice, kiedy Grady zapisywał ich zamówienie w notatniku. Pisał powoli, popatrując znacząco na Sama.

Sam zmarszczył czoło i wzruszył ramionami.

- To stare dzieje. Nawet nie pamiętam, kiedy się poznaliśmy. Clarice spojrzała niecierpliwie na piszącego wciąż Grady'ego.

- Przyniesiesz nam wreszcie te drinki?

- O, przepraszam. Pierwszy raz to robię. Czy moglibyście powtórzyć, co zamawialiście?

- Perriera i lampkę czerwonego wina - wycedziła.

- A, rzeczywiście. Męska toaleta jest zaraz za rogiem, Sam.

- Dziękuję, Grady - powiedział Sam z niewyraźną miną.

Grady oddalił się po drinki, żywiąc nadzieję, że przyjaciel zrozumiał jego aluzję. Nie chciał, żeby Sam opowiadał Clarice coś na jego temat. Odebrał od barmana drinki i ruszył z powrotem, zły, że Sam nie odszedł jeszcze od stolika i że Clarice znowu się śmieje.

- Proszę - powiedział. - Jeden perrier... mam ci go nalać do szklanki?

- Nie, dziękuję - odparła z uśmiechem.

- A dla ciebie jedno czerwone wino. Bardzo zimne, ale kiedy wrócisz z męskiej toalety, będzie w sam raz do picia.

Sam znowu spojrzał na niego zaskoczony i napotkał wlepiony w siebie wzrok Grady'ego.

- Tak, z pewnością. Ale wydaje mi się, że teraz jest akurat.

Sfrustrowane libido podjudzało Grady'ego do przewrócenia kieliszka i wylania Samowi wina na kolana, ale przeważył głos rozsądku i Grady uśmiechnął się.

- Zamawiacie coś jeszcze?

- Trochę później - powiedziała Clarice, nie odrywając oczu od siedzącego przy stoliku mężczyzny. Grady nie miał tu już nic do roboty. Spojrzał na Sama, który wpatrywał się w Clarice. Popatrzył na uśmiechniętą dziewczynę.

Jego libido potrzebowało czegoś na uspokojenie. Głos rozsądku podpowiedział: „Usuń się z ich życia! Ucz się restauratorstwa i zapomnij o Clarice - Kłopot - Jenkins!”

Posłuchał głosu rozsądku i powrócił do sprzątanía stolików, ale nie mógł się powstrzymać od zerkania na tamtych dwoje. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że bawi się wyśmienicie i Grady cierpiał z tego powodu.

Porwał bloczek zamówień, po czym wrócił do ich stolika.

- Chcielibyście już coś zamówić?

- Nie przejrzelśmy jeszcze menu - odparł Sam, uśmiechając się do Clarice. - Ty, naturalnie, znasz je na pamięć. Lubię ryby i wołowinę. Co byś mi poleciła?

Dziewczyna podniosła wzrok na Grady'ego.

- Zastanowimy się. Wróc za chwilę.

- Jak sobie życzycie - powiedział pogodnie. Najchętniej zrzuciłby Sama z krzesła. Złapał jednak tacę i z pasją przystąpił do sprzątanía zwolnionego właśnie stolika. Ustawiał w stosy brudne talerzyki i puste szklanki, a w głowie miał chaos. Nie dbał o zachowanie Clarice, ale Sam był przecież jednym z jego najbliższych przyjaciół. Na tym świecie jest jeszcze dość kobiet - podpowiedział mu stanowczo głos rozsądku. Ruszając z pełną tacą w kierunku kuchni, Grady jeszcze raz zerknął w ich stronę. Oboje zaśmiewali się z czegoś. Poczuł, że płonie. Popchnąwszy z furją jedno skrzydło wahadłowych drzwi, wpadł jak bomba do kuchni po raz ostatni zerkając przez ramię na Clarice. Zaraz za progiem zderzył się z Nicki, która wychodziła właśnie na salę z tacą pełną szklanek schłodzonej wody. Zachwiał się i, puszczając

własną tacę, podtrzymał Nicki, żeby uchronić ją przed upadkiem.

- Jezu! - usłyszał jeszcze, zanim wszystko utonęło w brzęku tłukących się naczyń i łomocie tac spadających na kuchenną posadzkę. Rozejrzał się i dostrzegł Kenta stojącego nieopodal z naręczem czystych talerzy i wybałuszającego oczy. - Jezu! Aleś ją staranował!

- Przepraszam, Nicki! - jęknął Grady. - Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku - westchnęła, opierając się o niego całym ciężarem.

- Obejrzałem się tylko...

- Wzrok masz nic lepszy od mojej siostry - zawyrokował Kent.

W tym momencie szef kuchni rozjazgotał się po wietnamsku i zatrzepotał rękami. Nicki oderwała się od Grady'ego i wygładziła mokrą spódnicę.

- Nie mogę się w tym pokazać.

- Skocz do domu i przebierz się - poradził jej Grady. - Powiem Clarice i Theo, co się stało. Uklękła, żeby pozbierać skorupy potłuczonych naczyń, ale Grady przykucnął obok i przytrzymał jej rękę.

- Idź się przebrać. Ja to posprzątam. To moja wina. - Zerknął w górę i ujrzał Kenta, który kręcił się po kuchni i obserwował go spod oka. Kent odwrócił się szybko plecami, ale Grady dałby głowę, że chłopak się śmieje!

- Diabli nadali! - mruknął Grady pod nosem.

Kent przyniósł mu szmatę i zaofiarował swoją pomoc, ale usta przez cały czas mu drżały.

- Ty i moja siostra jesteście chyba za starzy na takie podchody.

- Na j a k i e podchody? - warknął Grady złowieszczym tonem.

Kent pochylał się nad rozsypanymi po posadzce kostkami lodu i wydał z siebie odgłos zwiastujący, że zaraz parsknie niepohamowanym śmiechem.

- Już wiem, dlaczego wjechała w śmietnik.

Grady zapamiętał pracował szmatą i niczego tak nie pragnął, jak końca tej rozmowy. „A widzisz?” - wytknął mu głos rozsądku. „Kłopot. Odstąp ją Samowi ze swoim błogosławieństwem”. Ze strony swego libido słyszał tylko żalosne skamlenie.

- Siostrzyczka ma tam randkę, co?

- Tak! - Grady skończył wycierać podłogę i opuścił kuchnię szczęśliwy, że nie musi dłużej wysłuchiwać komentarzy Kenta. „Poproś kogoś innego, żeby obsłużył ich stół” - poradził mu spokojnie głos rozsądku.

- Zamówisz coś przed skorzystaniem z toalety? - spytał z naciskiem, wwiercając się w przyjaciela najognistszym ze swoich spojrzeń.

Clarice skryła się za rozłożoną kartą dań i wydało mu się, że słyszy jej chichot. Oczy Sama zatrzymały się na przodzie koszuli i górze spodni Grady'ego i zrobiły okrągłe.

- Może to ty powinieneś poszukać toalety - zauważył zgryźliwie.

Dopiero teraz Grady uświadomił sobie, że w wyniku zderzenia z Nicki jest tak samo mokry, jak ona.

- Rozlało mi się coś. - Zerknął na Clarice, która nie wystawiała głowy zza menu. Nachylił się szybko do Sama.

- Wyjdiesz wreszcie, do cholery, gdzieś, gdzie będziemy mogli zamienić dwa słowa?

- Nie.

Libido Grady'ego zerwało się do boju z siłą Atlasa. Sporo wysiłku go kosztowało, żeby nie złapać Sama za klapy marynarki.

- Chcesz - wycedził szeptem - jeszcze referencje dla...

Urwał. Clarice opuściła menu. Jej wzrok zjechał na przód koszuli i spodni Grady'ego, a potem menu znowu powędrowało w górę.

- Idź tam! - szepnął do Sama.

Menu opadło i Clarice spojrzała na niego ciekawie. Uśmiechnął się i wyprostował.

- Czy chcecie już zamówić?

- Przepraszam - odparła słodko, ale on przysięgłby, że słyszy w jej głosie nutkę rozbawienia. - Jeszcze się nie zdecydowałam. Wróc za minutkę. Co się stało w kuchni? Przewróciłeś się?

- Nie. Był mały wypadek. - Odszedł od stolika i zajął pozycję strategiczną, z której, niewidoczny dla Clarice, mógł wlepić wzrok w Sama.

Sam wzruszył ramionami i Clarice obejrzała się, Grady musiał więc wrócić do pracy.

Po pięciu minutach spostrzegł, że Sam wstaje od stolika i kieruje się do męskiej toalety. W Gradym, kiedy spieszył przez salę, by dopaść wreszcie przyjaciela, toczyła się kolejna zażarta bitwa. Zamknął za sobą drzwi toalety i stanął oko w oko ze spoglądającym spode łba Samem.

- Myślałem, że ci na niej nie zależy - zaczął Sam. - Przecież sam mnie namawiałeś, żebym nie odwoływał tej randki.

Głos rozsądku i libido Grady'ego walczyły ze sobą przez chwilę i wygrało libido.

- Szybko ci się odmienia. - Sam odrzucił z czoła pukiel blond włosów.

- Tak. Żywię względem niej mieszane uczucia.

- Coś ci powiem. Potrzebne mi twoje referencje i od dawna jesteśmy przyjaciółmi, ale lepiej się zdecyduj, bo nie masz do czynienia z lalką.

Grady zmarszczył czoło.

- Baw się dobrze. Nie chcę tylko, żebyś opowiadał jej o mnie i mojej firmie wiertniczej. Sam jej to opowiem. Ona myśli, że od początku siedzę w tamalach.

- I chcesz, żeby dalej tak myślała?

- Tak, dopóki nie będę jej mógł powiedzieć prawdy. Nie chcę, żeby dowiedziała się jej od ciebie.

- To wszystko? - Tak.

Niespodziewanie Sam się roześmiał.

- No to możesz spać spokojnie. Ani razu o tobie nie wspomnieliśmy. Beztroskie słowa Sama wcale nie uspokoiły Grady'ego.

- Ani razu?

- Ani razu. I raczej już nie wspomnimy. Mamy inne tematy.

- Co u Jenny?

- Czuj się upoważniony do umówienia się z nią. Ja zamierzam zakręcić się koło Clarice. - Zamierzasz, co?

- Czy to jedna z tych chwil, kiedy przestawiasz się z obojętności na zainteresowanie jej osobą?

- Nie, nie. Nie krępuj się. Tylko nie ujawniaj przed nią mojej przeszłości.

- Mówisz, jak potłuczony. Po raz ostatni pytam: jesteś pewien, że ci na niej nie zależy? Pytanie zawisło na chwilę w powietrzu.

- Nie, nie jestem pewien - burknął w końcu Grady.

- Wiedziałem! Cholera, co za pieprzone szczęście!

- Posłuchaj tylko! Ona zatruwa mi życie, ale nie mogę patrzeć, jak tam siedzicie i bawicie się. Może gdyby nie odbywało się to pod moim nosem, jakoś bym to zniósł.

Sam wznosił ręce do nieba i wypadł z toalety przez drzwi wyjściowe. Wrócił niemal natychmiast drzwiami wejściowymi, stanął wsparty pod boki i przeszył Grady'ego wściekłym spojrzeniem.

- Jeśli tak na ciebie działa, to czemu się z nią nie umówisz?

- Nie chcę się z nią umawiać - odparł Grady i jego głos rozsądku zaczął dochodzić do siebie. - Jest sztywna, jest staroświecka, sprowadza kłopoty.

Sam przechylił głowę.

- Zawiadom mnie o ślubie - warknął i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Ślub. Głos rozsądku zawył z bólu. Grady wyskoczył z toalety drzwiami wejściowymi i zastąpił Samowi drogę.

- Umawiaj się z nią do woli. Tylko schodźcie mi z oczu.

Jakiś mężczyzna zmierzający do męskiej toalety spojrzał na nich ciekawie. W pobliżu stał Kent z tacą brudnych naczyń i wybałuszał na Grady'ego oczy.

- Mhm - mruknął Sam. - Pewnie, że się z nią będę umawiał. A ciebie przejadę jutro samochodem.

- Mówię poważnie - powiedział z ponurą miną Grady, czepiając się rozpaczliwie swego głosu rozsądku.

- Cholera, trzeba mi to było powiedzieć wcześniej, zanim lepiej ją poznałem.

- Przecież ci mówię, umawiaj się z nią.

- Cicho, ludzie patrzą. Ona też.

- Popatrz, co ze mną zrobiła. Tkwię po łokcie w brudnych garach. Wpadłem na kelnerkę, wytrąciłem jej tacę pełną drinków. Jestem cały mokry. Haruję za minimalną stawkę i cierpię. Naprawdę cierpię. Ona to tylko kłopot. Wybaw mnie od niej, a jak mi trochę przejdzie, to ci się odwdzięczę - głos rozsądku zgotował mu gorącą owację.

- W porządku, ale pamiętaj, sam mnie poprosiłeś, żebym kontynuował tę znajomość.

- Będę pamiętał.

- Żeby wybawić cię od kłopotu.

- Zgadza się. Proszę cię tylko, żebyś z nią nie rozmawiał o mojej przeszłości.

- Umowa stoi! - oświadczył poważnie Sam, wyciągając rękę. Uścisnęli sobie dłonie, a przechodzący obok mężczyzna, który wracał z toalety, spojrzał na nich z jeszcze większym zaciekawieniem niż za pierwszym razem. Zerknęli obaj na stolik przy oknie.

- Cholera, nie ma jej! - syknął Sam.

- Pewnie poszła przypudrować sobie nos.

- Nie wiem. Za długo rozmawialiśmy.

Rozstali się. Grady wrócił do kuchni, gdzie zastał Clarice rozmawiającą z szefem. Bez słowa zajął się sztucami, ale kiedy podeszła do szafki i zaczęła wyjmować z niej czyste szklanki, nie wytrzymał.

- Przecież masz randkę - przypomniał jej. - Zamierzasz sama się obsłużyć?

- Już nie. Za długo kazał na siebie czekać - odparła chłodno.

Grady w pierwszej chwili wpadł w euforię; potem zainterweniował jego głos rozsądku. Spojrzał na nią ponuro.

- To moja wina - mruknął. - Zagadałem go. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć: błękitne oczy miały błyskawice.

- Jeśli próbujesz nakłonić go, żeby się ze mną umawiał, to byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś przestał się wtrącać w moje sprawy. Sama potrafię sobie radzić.

- Myślisz...? Och, nie!

- A o czym innym mogliście tak długo dyskutować w męskiej toalecie? Co innego nie mogło zaczekać na inną okazję? Wiem, że mu groziłeś.

- Nie groziłem mu.

- Odpowiedz z ręką na sercu. Prosiłeś go, żeby się ze mną dalej umawiał? - No...

- Prosiłeś? Tak czy nie!

- Tak, ale to jest inaczej niż myślisz.

Oddaliła się energicznym krokiem, a Grady wzruszył ramionami. Była wyjątkowo kłopotliwa. Wrócił na salę jadalną i podszedł do stolika, przy którym czekał Sam.

- Mówiłem ci, że z nią same kłopoty - powiedział. - Wścieka się, bo podejrzewa, że zmuszałem cię, żebyś się z nią jeszcze raz umówił.

- Co takiego? Skąd jej przyszedł do głowy taki idiotyczny pomysł?

- Skąd mam wiedzieć, jak pracuje babski mózg? Chcesz coś zamówić? - Nie, do diabła! Gdzie ona jest?

- Naprawdę nie wiem.

- Zepsułeś najlepszą randkę, jaką ostatnio miałem.

- Przepraszam. Gdybyś przyszedł do męskiej toalety od razu, kiedy ci to zasugerowałem...

- Przez wzgląd na naszą byłą przyjaźń ostrzegam cię... - wycedził Sam przez zaciśnięte zęby. - Zejdź mi z oczu.

Grady wycofał się. Dobrze znał Sama i nie chciał, żeby z powodu Panny Kłopot w restauracji King's Crown doszło do rękoczynów.

„A widzisz, a widzisz?” - triumfował głos rozsądku. - „Ona, to tylko kłopot. Kłopot, nawet podczas randki z innym mężczyzną!”

„Poszukaj jej” - podszeptowało libido.

Znalazł Clarice na zewnątrz. Mocowała się z pełnym workiem śmieci, który próbowała wrzucić do wysokiego kontenera.

- To nie dla ciebie robota - powiedział, odbierając jej worek i wrzucając go bez wysiłku do kontenera. - Pozwól, że śmieciami będę się zajmował ja, albo Kent.

- Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem i побыć trochę sama, jeśli pozwolisz!

Patrzyła na niego z twarzą pokrytą rumieńcem. Spojrzał w roziskrzone, błękitne oczy i zapragnął wziąć ją w ramiona. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Przykro mi.

- Gdyby naprawdę było ci przykro, wyniósłbyś się z mojego życia.

- Nie wiedziałem, że w nim jestem. Czy mam przez to rozumieć, że wyrzucasz mnie z pracy?

- Nie! - odparła ze złością, a Grady zorientował się, że chętnie by to zrobiła. Ocalił go wuj Stanton.

- Okay, szefowo - powiedział z uśmiechem. Głos rozsądku podpowiadał mu; żeby wrócił do restauracji, póki jeszcze czas. Libido popychało go do sprawdzenia, na ile Clarice jest zła.

Przysunął się do niej.

- Bardzo jesteś zła? - spytał.

Oblizła wargi i zamrugała oczami. Rzęsy przysłoniły na chwilę jej wielkie, błękitne oczy.

- Wystarczająco - odparła, ale w jej oczach nie było już błyskawic i głos jej złagodniał.

- Wystarczająco do czego? - spytał, żałując teraz, że nie stoją za śmietnikiem, gdzie byliby niewidoczni z restauracji.

- Ho, ho, ho, Clarice kocha Grady'ego! - rozległ się raptem nosowy głos dobiegający z otwartych drzwi od zaplecza.

Kent cofnął się do środka, zanim zdążyli zareagować.

- Och! - dziewczyna zadygotała z wściekłości i w jej oczach znowu zapłonęły błyskawice. Grady z najwyższym trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Nie wiń mnie za niego! - powiedział, zdając sobie sprawę, że gdyby się teraz uśmiechnął, byłby pogrążony głębiej, niż „Titanic”.

- Mężczyźni! - krzyknęła i z dumnie podniesioną głową przecisnęła się obok niego, zmierzając szybkim krokiem w stronę restauracji. Grady oparł się łokciem o kontener na śmieci i z rozbawieniem patrzył, jak z furkotem spódnicy, kołysząc prowokacyjnie biodrami, niczym burza wpadła do restauracji.

Przekraczając próg, zerknęła przez ramię i zorientowała się, że Grady ją obserwuje. Uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Trzasnęła drzwiami z taką siłą, że w oknach od kuchni zadrżały szyby.

Kiedy wrócił do restauracji, Clarice nigdzie nie było. Zabrał się właśnie do zmywania naczyń, kiedy do kuchni wszedł Kent.

- Hej, Kent. Lepiej przestań się pastwić nad siostrą. Kent uśmiechnął się.

- Dobrze, przestanę.

Kilka minut później Grady wszedł na salę jadalną, żeby posprzątać ze stolików, i zatrzymał się jak wryty.

Rozdział 6

Clarice i Sam siedzieli znowu razem przy stoliku pod oknem. Grady nachmurzony ruszył w ich stronę, ale drogę zagroziła mu kelnerka imieniem Tiffany.

- Ja mam obsługiwać pannę Jenkins i jej przyjaciela - oznajmiła. Powiedziała, że mam to robić wyłącznie ja i żeby to tobie przekazać.

- Co?

- Słuchaj, nie ja to wymyśliłam, tylko ona.

- Niech będzie - powiedział siląc się na obojętność. Czyń swoją powinność.

Zajął się znowu sprzątaniem ze stolików, popatrując ukradkiem na tamtych dwoje i zachodząc w głowę, jak Samowi udało się wkraść z powrotem w łaski dziewczyny. Kiedy zobaczył, że wstają, poczuł wielką ulgę. Sam zniknął za frontowymi drzwiami, a Clarice przeszła do swojego kantorku, który nazywała biurem. Po kilku minutach pojawiła się z powrotem z torebką przewieszoną przez ramię i przedelfilowała ostentacyjnie przez salę do głównego wyjścia. Grady'emu dopiero teraz zaświtało w głowie, że wychodzi z Samem.

Kilkoma skokami przeciął salę i zagroził jej drogę.

- Wychodzę - oznajmiła i zniżyła głos do szeptu. - Nie rób scen. Nie spotkałam jeszcze nikogo z takim talentem do sprowadzania kłopotów.

- Mówisz o mnie? - zachnął się Grady. - J a sprowadzam kłopoty?

- Słuchaj. Pracujesz tu dopiero jeden dzień, a ja już stuknęłam w śmietnik, ty przewróciłeś Nicki i potłukłeś dwie tace naczyń, urządziłeś awanturę, o mało nie zepsułeś mi randki... Czy możesz zrobić w tył zwrot, odmaszerować do kuchni i pozwolić mi stąd wyjść bez wywoływania kolejnej afery?

- Wcale go nie namawiałem, żeby się z tobą umawiał. Powiedziałem mu tylko, że to by nie zaszkodziło.

- No, pięknie. Teraz wszystko rozumiem. Jesteś moim podwładnym. Czy weźmiesz wreszcie tę tacę, którą trzymasz, i znikniesz z nią w kuchni?

- Oczywiście, za momencik. Wybierzemy się gdzieś w piątek wieczorem?

- W piątkowy wieczór będziesz pracował. W sobotni zresztą też. Idź już do tej kuchni, proszę cię.

- A w niedzielę?

- Ludzie patrzą - wyszeptała. - Robisz widowisko. Co w tobie jest, że kłopoty idą za tobą krok w krok?

- I to mówi kobieta, która jest ucieleśnieniem kłopotów! Ja wiodę spokojne życie i nikomu nie wadzę.

- O tak, rzeczywiście! Od kiedy ten obskurny wózek z tamalami pojawił się w moim życiu, nie mam chwili spokoju!

Przy ostatnich słowach podniosła głos i w pobliżu ktoś się roześmiał. Grady skłonił się jej nisko i przepuścił przez drzwi.

- Usunę swoją tamalową osobowość z twego życia - powiedział, kiedy go mijała. - Rezygnuję! Po jej wyjściu Grady pracował pilnie aż do zamknięcia, a potem pojechał do domu świadomy, że jednak zależy mu na niej bardziej, niż jest to skłonny przyznać.

Nazajutrz Clarice ubrała się w czarną spódnicę i białą bluzkę z marynarskim kołnierzem. Włosy związała w kok czarną wstążką i starała się nie myśleć o czekającym ją dniu. Zadzwoił telefon. Podniósłszy słuchawkę usłyszała w niej głos wuja Stanton.

- Clarice? Nie przyszłaś wczoraj do mnie z rachunkami.

- Myślałam, że wuj Theo i Kent ci je przywiozą.

- Przywieźli. I opowiadali mi jakieś dziwne historie. Co tam się wyprawia?

- To przez tego Grady'ego O'Toole'a. Mówiłam ci, wuju, ten człowiek to chodzący pech. Sprowadza tylko kłopoty. Czy mogę go zwolnić? - Wstrzymała oddech. Gdyby wuj Stanton pozwolił jej zwolnić Grady'ego, nie musiałaby mu mówić, że Grady sam zrezygnował.

- Wielkie nieba, ani mi się waź! Wczoraj po raz pierwszy od dwóch tygodni przed moją elegancką restauracją nie kopał ten obdrapany stragan z tamalami. Ani go nie zwolnisz, ani nie pozwolisz mu odejść na własną prośbę!

- Dobrze, wuju - powiedziała, zastanawiając się w duchu, czy rzeczywiście warto było się łąszczyć na wyższe uposażenie. W gabinecie dentysty było tak spokojnie, przed wejściem nie pętał się żaden Grady O'Toole...

Wyjechała do pracy. Kiedy zbliżała się do podjazdu, z napięcia aż ścisnęło ją w dołku. Szok, jakiego doznała, poraził jej zmysły. Wytrzeszczyła oczy. Z odrętwienia wyrwał ją ryk klaksonu. Z przerażeniem zauważyła, że nieświadomie zjechała na sąsiedni pas ruchu. Roztrzęsiona, włączyła kierunkowskaz i skręciła w podjazd.

Zahamowała gwałtownie. Tors znowu tu był! Sterczał przy swoim straganie z tamalami.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, starając się omijać wzrokiem jego ciało.

- Podziwiam gile i dęby. Chyba mam w sobie coś z trampa przemierzającego otwarte przestrzenie. Przygryzła wargę. Wuj Stanton Chciał za wszelką cenę zatrudnić u siebie Grady'ego. Ona nic. Opierając się pokusie i nie spoglądając na tors, powiedziała:

- Wróć do pracy, proszę cię.

Przyklęknął i zaczął majstrować przy kółku straganu.

- Przykro mi.

- Dam ci podwyżkę. Obejrzał się przez ramię.

- A umówisz się ze mną na niedzielny wieczór?

- Nie mówisz poważnie!
- Niestety, poważnie.
- Od kiedy to mężczyzna z takim cia... - Urwała. Co się z nią dzieje? I ten jego rozkwitający powoli uśmiech, te iskierki przekory w oczach.

- Z takim czym?

- ...musi szantażem wymuszać randki?

- Z takim czym? - nie dawał za wygraną.

- Wiesz z czym! - wybuchnęła, ocierając pot z czoła.

Odłożył chochlę i ręcznik, które trzymał w ręku. Każdy jego ruch był wyważony i poczuła, że zaczyna jej brakować tchu. Postąpił krok w jej kierunku, a ona cofnęła się i zatrzymała na pniu dębu. Oparł się o ten pień, kładąc dłoń tuż nad jej głową.

- Grady... - wydusiła z siebie.

- Clarice, coś się dzieje, kiedy jesteśmy razem, i ja nie mogę się temu oprzeć. Wiesz co? Musisz się więcej śmiać.

- Śmiać? - Umysł przestał jej pracować. Tors dzieliło od niej ledwie kilka cali, a zielone oczy Grady'ego nie miały dna, jego usta tak kusily.

- Tak. Tego wieczora, kiedy zwiedzaliśmy parcele, odprężyłaś się i śmiałaś, i było w tobie wtedy tyle ciepła, że wystarczyłoby go na stopienie Bieguna Północnego. Ale nigdy nie widziałem, żebyś uśmiechnęła się w pracy albo podczas dnia.

- To się grubo mylisz! - Roześmiała się na głos, ale wyszło to jakoś nienaturalnie.

- Nie o taki śmiech mi chodzi. Ten jest wymuszony.

- A ty zamierzasz wedrzeć się w moje życie, żeby mnie rozśmieszać i co nieco ucłowieczyć! - Jej wzrok zsunął się niżej i wpadła w pułapkę. Wlepiała oczy w tę cudownie umięśnioną, opaloną na brąz klatkę piersiową. Zapragnęła jej dotknąć.

Kiedy podniosła głowę, spojrzała mu w oczy i wyczytała z nich, że on chce ją pocałować. Pragnęła go teraz bardziej, niż czegokolwiek w życiu.

- Umów się ze mną na niedzielę - powiedział.

- Pod warunkiem, że wrócisz do pracy w King's Crown.

Uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- A od kiedy to musi uciekać się do szantażu ktoś z cie...

- Grady!

- Uspokój się, Clarice.

- No to... wracasz do pracy? - spytała niepewnie.

- Jasne - odparł.

Przysunął się jeszcze bliżej. Zamknęła oczy, gdy poczuła na wargach dotyk jego ust. Ryl ledwie wyczuwalny, ale dreszcz rozkoszy przeszedł ją od stóp do głów.

- Mmmm - wymruczała i zarzuciła Grady'emu rękę na szyję.

Ryknął klakson, zapiszczały opony. Grady oderwał się od dziewczyny. Clarice obejrzała się i ku swemu przerażeniu ujrzała Kenta w jego starym zielonym samochodzie, usiłującego skręcić w podjazd, podjazd zatarasowany jej wozem.

Kent zahamował gwałtownie i wpadł w poślizg, a jadący za nim kierowca usiłował go ominąć, trąbiąc przy tym wściekle.

- O, nie! - jęknęła, patrząc, jak zielony wóz Kenta wpada z impetem w bagażnik jej czerwonego forda, a samochód pędzący za Kentem unika w ostatniej chwili kolizji. Kierowca wykonał w ich kierunku obsceniczny gest, na który Kent nie omieszkał odpowiedzieć, i pomknął dalej.

Kent wyskoczył na podjazd, odrzucając z czoła grzywę blond włosów. Uniósł ręce.

- Mój samochód!

Podbiegła do swojego wozu i popatrzyła na rozbity tył.

- Przepraszam, Kent. Zatrzymałam się tylko na chwilę.
- Siostrzyczko, czy nie mogłabyś usuwać swojego grata z drogi, zanim zaczniesz romansować?

- Kent!

- A jak to nazwać? Widziałem, jak go całujesz. Spójrz na mój błotnik i zderzak! Podszedł Grady. Obejrzał skutki karambolu.

- Spróbujmy je rozdzielić.

- Tak się szczepiły, że jak cofnę, to oderwę zderzak. Mój jest na górze.

W tym momencie nadjechał wuj Theo. Prowadził jak zwykle powoli, a kiedy, nie mogąc skręcić w podjazd, zatrzymał się niezdecydowanie, utworzył się za nim mały korek.

Clarice najchętniej zapadłaby się pod ziemię, albo krzyczała, że to вина Grady'ego O'Toole'a!

- Ty stań na jej zderzaku, żeby trochę osiadł - zwrócił się Grady do Kenta, przejmując inicjatywę - a ja uniosę przód twojego wozu. Wtedy Clarice będzie mogła wycofać twój samochód.

- Aha! Za nic nie stanę na żadnym zderzaku, kiedy za kierownicą siedzi moja siostra.

- Kent, na miłość boską! To nie ja na ciebie wpadłam.

- Dobra, dobra. A pamiętasz śmietnik?

- Właż na zderzak - warknęła i wsunęła się za kierownicę jego wozu. Kent stanął na zderzaku, a Grady, napinając mięśnie ramion i karku, uniósł przód samochodu.

- Powoli! - zawołał i dał jej znak. Po kilku sekundach wozy były już rozdzielone i Clarice wysiadła z wozu Kenta.

- Chcę jeszcze z tobą porozmawiać - zwróciła się do Grady'ego.

- Zjedź z podjazdu na mój parking.

Poszła za jego radą. Grady nie spuszczał z niej oka. Kiedy wysiadała z samochodu, jego wzrok zsunął się na jej nogi.

- No to może teraz, z łaski swojej, wrócisz do pracy - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to energicznie i oficjalnie.

- Już się robi - odpowiedział wesoło. - To na niedzielę jesteśmy umówieni, tak?

- Tak! - nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Podszedł bliżej.

- O właśnie. Dokładnie o to mi chodziło. Tak powinnaś się śmiać.

- Przesadzasz. Wcale nie jestem taka poważna.

- Jesteś.

- Pochodzę z poważnej rodziny. Mój tato jest tak samo poważny, jak wuj Stanton.

- Czego nie można powiedzieć o Theo - mruknął Grady, przysuwając się jeszcze bliżej. - Chyba stawię się w pracy jutro.

- Czemu nie dzisiaj? Jesteś nam potrzebny. Uśmiechnął się.

- Chciałaś przez to powiedzieć, że wuj Stanton nie życzy sobie, abym prowadził dzisiaj mój tamalowy interes? Po pierwsze, tamale już mi się gotują, a po drugie, muszę wpaść do domu i się przebrać, chyba że chcesz, żebym przystąpił do pracy tak, jak stoję.

- O, nie! Musisz coś na siebie włożyć.

- A co z moimi tamalami?

- Nie możesz zabrać ich do domu i wstawić do lodówki? - ugryzła się w język, bo dopiero teraz przyszło jej do głowy, że on może nie mieć własnej lodówki.. - Albo lepiej przechowam ci je w naszej zamrażarce - dorzuciła pospiesznie. - Wuj Stanton powiedział, że mogę ci dać podwyżkę. - Zdawała

sobie sprawę, że wuj Stanton dostałby ataku apopleksji, gdyby dowiedział się, że ona bez potrzeby szasta pieniędzmi.

- To wspaniale - ucieszył się Grady.

- Co byś powiedział na pięćdziesiąt centów na godzinę więcej?

- Cudownie - odparł z takim rozbawieniem, że Clarice poczuła się niezręcznie.

- Co robiłeś, zanim zająłeś się tamalami? - spytała.

Grady przypatrywał się przez chwilę Clarice. Oto nadarzała się idealna okazja do opowiedzenia jej o sobie, ale jakiś przewrotny instynkt podpowiadał mu, żeby zdobyć przychylność dziewczyny jako sprzedawca tamali, a nie jako inżynier i byty prezes własnej firmy.

- Pracowało się tu i tam - odparł wymijająco.

- Niezbyt to konkretne - stwierdziła, marszcząc pogardliwie noseć.

- A ty nie uznajesz zajęć, które nie mają konkretności betonu? . - No cóż, w zasadzie masz rację. Pragnę bezpieczeństwa.

- Nie wątpię - powiedział. „A widzisz, a widzisz?” - wytknął mu głos rozsądku.

- I nie pochwalasz mojego nastawienia - zauważyła. Wzruszył ramionami.

- Czasami trzeba zaryzykować. Raz już to zrobiłaś, rezygnując z posady u dentysty.

- Wcale nie. Umówiłam się z nim, że wrócę, kiedy wuj Stanton wyjdzie ze szpitala. Do tego czasu zastępuje mnie jego żona. A tutaj więcej zarabiam, niczym więc nie ryzykowałam. Lubię wiedzieć, dokąd zmierzam i którędy się tam idzie.

- Nie dało się tego zauważyć, kiedy uderzyłaś w śmietnik - powiedział.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli! - Odwróciła się i wsiadła do samochodu. - Do zobaczenia w restauracji.

- Zaraz tam będę.

Trzasnęła drzwiczkami i, nucąc pod nosem, ruszyła wolno podjazdem w kierunku parkingu na tyłach budynku. Za ostatnim zakrętem nagle zamilkła. Na budynku, na słupach latarni i na drzewach rosnących wokół parkingu kołysały się płachty papieru z koślawymi napisami.

OSTROŻNIE - ŚMIETNIK!

- Kent... - mruknęła i zobaczyła we wstecznym lusterku, jak Grady odciąga stragan z tamalami na tyły swojego placyku.

UWAGA - WIELKA PRZESZKODA! - ostrzegał następny napis. Parsknęła śmiechem. Zaparkowała i wysiadła. Grady nadchodził już od strony parkingu, niosąc przed sobą tacę parujących tamali. Uśmiechnął się.

- Widzę, że Kentowi bardzo zależy na ochronie tego kontenera.

- Mój brat jest jeszcze bardzo dziecinny - powiedziała z uśmiechem i Grady uniósł brwi.

- Czyżbym widział uśmiech? Myślałem, że zastanę cię w złym humorze - powiedział, przyglądając się jej uważnie.

- Za ładny dzień na złe humory - odparła.

Otworzyła przed nim drzwi od zaplecza. Postawił tamale na kuchennym stole, żeby ostygły, i wyszedł po drugą tacę.

- Nieźle dzisiaj pojechałaś, siostrzyczko - przywitał ją Kent.

- Kent, idź zaraz i pozdejmuj te idiotyczne napisy.

- Co robi twój chłoptaś?

- Chcesz tu dalej pracować? - syknęła, mając nadzieję, że to wystarczająca groźba, by położyć kres docinkom Kenta.

- Tak.

- No to skończ z tymi uwagami.

- Jak sobie życzysz. Nie masz jednak poczucia humoru. - Kent wyszedł spełnić jej polecenie. Clarice spojrzała na parującą tacę. Tamale złociły się w czerwonym sosie. Poczowała głód: pachniały tak kusząco, że nie mogła się powstrzymać. Wzięła jednego i podniosła go do ust. Był wspaniały. Zamknęła oczy, rozkoszując się jego smakiem.

- Dobrze, co? - Grady stał w progu i obserwował ją z uśmiechem.

- Och, mniem - mniem! - westchnęła, uświadamiając sobie, że zacytowała treść znieprawdzonego transparentu.

Grady postawił na stole drugą tacę. Z bulgoczących jeszcze przed chwilą w sosie tamali unosiły się kłęby pary.

- To wszystkie - oznajmił. - Częstuj się.

- Chciałam tylko spróbować. Może mianuję cię pomocnikiem szefa kuchni.

- Niestety, mój repertuar jest ograniczony. Tamale, chili, nachos, stek, nadziewane kurczę. To chyba wszystko.

- Widzę, że lubisz meksykańską kuchnię.

- Owszem.

- Czy nie zdradziłbyś nam przepisu na tamale? Moglibyśmy je włączyć do jadłospisu.

- Przykro mi. Kto wie, czy nie będę musiał wrócić do ich sprzedawania. Ten przepis, to moja tajemnica zawodowa. Pojadę teraz do domu się przebrać. Chcesz jechać ze mną?

Milczała niezdecydowana. W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale była strasznie ciekawa, jak wygląda mieszkanie Grady'ego, na ile zgodne ze stanem faktycznym są jej wyobrażenia, w których widziała go śpijącego pod mostem.

Zorientowała się po chwili, że Grady jest zaskoczony jej wahaniem. Spodziewał się, że ona stanowczo odrzuci jego propozycję i wysunął ją tylko po to, żeby się z nią podroczyć.

Na pewno mieszka pod mostem, albo w jakiejś ruderze - myślała Clarice - której wcale nie ma zamiaru pokazywać.

Może nawet wegetuje w swoim lincolnie, a cały dobytek trzyma w bagażniku i na tylnym siedzeniu!

- Nie, lepiej tu zostanę - powiedziała układnie. Odniosła wrażenie, że widzi w jego oczach ogromną ulgę. Odetchnął pełną piersią i uśmiechnął się.

- Niedługo wracam - zapowiedział i mrugnął do niej. To mrugnięcie rozgrzało ją bardziej niż tamal. Patrzyła na Grady'ego, gdy odchodził przez parking do swojego samochodu. Wyobraźnia podsunęła jej ewentualny scenariusz tego, co teraz będzie robił: odjeżdża poza zasięg jej wzroku, skręca na najbliższą stację benzynową, przebiera się w męskiej toalecie i wraca jak gdyby nigdy nic do King's Crown, żeby podjąć pracę.

- Znowu marzymy o Grady - rozległ się głos za plecami Clarice, a zaraz potem nastąpiła seria cmoknięć mających imitować pocałunki.

- Kent! - odwróciła się na pięcie, ale brata już nie było.

W tym momencie drzwiami od zaplecza wszedł szef kuchni Cuong Nguyen, przywitał ją dobrodusznym uśmiechem i zabrali się do pracy. Grady wrócił szybko. Chociaż była zajęta, od razu wyczuła, że wchodzi do kuchni. Dzień upływał bez żadnych sensacji i wszystko byłoby wspaniale, gdyby pod wieczór nie zjawił się Sam.

Przyszedł o siedemnastej trzydzieści. Grady zobaczył go rozmawiającego z Clarice przy głównym wejściu.

Clarice przeprosiła na chwilę, żeby wskazać stolik czwórce klientów, Sam zaś oparł się ramieniem o ścianę, czekając na powrót dziewczyny. Grady'ego zauważył dopiero wtedy, kiedy ten stanął przed nim.

- Zmieniłem zdanie - powiedział Grady. Sam odwrócił głowę.

- O, cześć. Co, rzucasz robotę i wracasz do tamali? A może do wierceń?...

- Ciii! Przystaniesz wreszcie paplać o firmie?
- A co, jeszcze jej nie powiedziałeś? - spytał Sam, ale odpowiedź wyraźnie go nie interesowała. Znowu zaczął wodzić wzrokiem za Clarice.
- Zmieniłem zdanie względem Clarice. Już nie chcę, żebyś się z nią umawiał. Sam odwrócił głowę i spojrzał na Grady'ego tak, jakby od lat go nie widział.
- No, stary... - zaczął przeciągle, a potem przyciszonym głosem wysunął sugestię, którą Grady pominął milczeniem.
- Namawiałem cię, żebyś się z nią umawiał - ciągnął Grady z determinacją. - Przedstawiłem cię jej, a teraz wszystko odwołuję.
- Za późno.
- Sam, posłuchaj...
- To ty posłuchaj. Robię wyraźne postępy z najbardziej ekscytującą kobietą...
- Co rozumiesz pod słowami „robię wyraźne postępy”? - przerwał mu Grady, piorunując Sama wzrokiem.
- Nie mów do mnie tym tonem. Nie twój interes, co pod nimi rozumiem. Nie masz najmniejszego prawa do Clarice.
- Chwileczkę...
- O, już idzie. Wracaj lepiej do roboty, bo złości ją, kiedy wywołujesz awantury. Wiesz, nie podejrzewałem, że z ciebie taki mąciwoda.
- Ja ciebie też o to nie podejrzewałem.
- A jeśli zamierzasz mi zagrozić, że nie dasz mi tych referencji, to dowiedz się, że mam już pracę.
- Nie zrobiłbym tego, nawet gdybyśmy mieli ze sobą na pieńku. Jesteś dobry w swoim fachu.
- Dzięki, a teraz lepiej już idź. - Grady odszedł, ale tylko kilka metrów. Zajął się sprzątaniami stolika oraz obserwowaniem Clarice i Sama. Jego libido cierpiało katusze, a głos rozsądku zupełnie go opuścił.

Wszedł z tacą pustych naczyń do kuchni, rzucając z progu ostatnie spojrzenie na tamtych dwoje. W głowie tłukły mu się słowa Sama.

„...robię znaczące postępy...” Postępy? Grady odrzucił ścierkę. Szef kuchni Cuong skończył na dziś i mył właśnie ręce. Odwróciwszy się, żeby odwiesić fartuch i wyjść, uśmiechnął się do Grady'ego.

- Dobranoc. Zgasisz ogień pod rondlem? Ja już wychodzę.

- Jasne, dobranoc, Cuong.

Grady bębnił palcami po stole, zaciskając mocno szczęki. Do randki z Clarice pozostały jeszcze trzy dni. Trzy długie dni.

Rozdział 7

Nazajutrz, siadając przy łóżku wuja Stanton, Clarice wzięła głęboki oddech. Chory siedział podparty białą poduszką, proste, kasztanowe włosy miał gładko przylizane i rozdzielone przedziałkiem. Do pasa okrywała go biała kołdra. Przeglądał trzymane w ręku papiery. Obok Clarice, z rękoma splecionymi na podołku, przycupnął cicho jak trusia wuj Theo. Niebieska koszula i niebieskie bawełniane spodnie podkreślały niewinny błękit jego oczu.

Clarice spytała wuja Stanton o zdrowie, wręczyła mu rachunki z poprzedniego dnia i obserwowała, jak humor z wolna mu się poprawia. W duchu dziękowała Bogu, że interes idzie jak po maśle. Chciała odpowiednio przygotować grunt, zanim zda wujowi relację z wydarzeń poprzedniego wieczora. Wreszcie zdecydowała, że nadszedł właściwy moment.

- Wuju Stantonie, chcę zwolnić Grady'ego O'Toole'a - wyrzuciła z siebie.

- Znowu zaczynasz? Nareszcie pozbyliśmy się spod King's Crown tego obscurnego straganu!

- On nie może zostać. Za dużo z nim kłopotu.

- Kłopotu! Ha! - mruknął bliski wybuchnięcia śmiechem. Takiego go jeszcze nie widziała. - Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich, Albo skłoń, żeby przyłączyli się do ciebie! - Wysunął buńczucznie szczękę. - Grady O'Toole zostaje.

Clarice zerknęła na wuja Theo, który wyglądał przez okno na nasłoneczniony, wypielegnowany szpitalny trawnik. Znowu odetchnęła głęboko.

- Grady musi odejść. Wczoraj wieczorem wywołał pożar w kuchni.

- Co zrobił? - wuj Stanton wyprostował się na łóżku, purpurowiejąc na twarzy.

- To był wypadek. Rzucił ścierkę obok kuchenki, na której Cuong zostawił rondel na małym ogniu. Ścierka zajęła się i...

- Jakie są straty? - przerwał jej ze złością wuj Stanton.

- Minimalne. Okopcony róg kuchni. O'Toole ugasił ogień, zanim przyjechała straż pożarna. Wuj Stanton opadł z powrotem na poduszkę.

- Potrąć mu za to z wypłaty. Myślisz, że zrobił to umyślnie?

- Och, nie! - zaprzeczyła szybko.

- Tłumaczył, że się zamyślił - wtrącił wuj Theo, próbując przyjść jej z pomocą. - Kent mówi, że on jest zakochany.

Clarice poczuła, jak rumieniec występuje jej na szyję i wędruje ku policzkom.

- Diabli nadali - mruknął wuj Stanton, mnąc w palcach poszewkę kołdry. - Diabli nadali ten stragan. Nie możemy wylać O'Toole'a.

- A więc trzeba się przygotować na dalsze kłopoty - powiedziała Clarice. - To nieuniknione. Wuj Stanton przechylił się przez krawędź łóżka.

- A więc nie będziesz go spuszczać z oka, moja panno! Nie odstępisz go na krok i przez cały czas będziesz mu patrzeć na ręce, słyszysz?

Clarice przeklęła los, który uparł się zniszczyć jej życie.

- Słyszę, wuju.

- Weź aparat, sfotografuj kuchnię i przynieś mi zdjęcie.

Kiedy tam posprzątaacie?

- Jeszcze dzisiaj. Założymy nową żaluzję w oknie...

- Prawdę mówiąc, to mieliśmy szczęście - wtrącił wuj Theo. - Kiedy wybuchł pożar, na sali było tylko kilka osób...

- Szczęście? Mam gdzieś takie szczęście! Już ja coś wymyślę, żeby wykupić tę parcelę. Ale do tego czasu trzymaj się O'Toole'a, Clarice!

- Dobrze, wuju - odparła z mieszanymi uczuciami.

Godzinę później Clarice wepchnęła Grady'ego O'Toole'a do swojego kantorku i zamknęła drzwi. Po środku pomieszczenia zawałonego kartonowymi pudłami i stertami papieru stał stolik z maszyną do pisania i dwa składane krzeselka.

- Siadaj. Muszę z tobą porozmawiać.

Starła się nadać głosowi możliwie oficjalny ton. Zajęła miejsce za stolikiem i odsunęła na bok równą kupkę listów, które niedawno pracowicie wystukała na maszynie.

Grady usiadł w swobodnej pozie, a jej zrobiło się głupio, że wciągnęła go do swojego biura. Krępowało ją jego spojrzenie i żałowała, że nie machnęła ręką na całą sprawę.

- Muszę z tobą porozmawiać - powtórzyła.

- Clarice! - zawołał z sali jadalnej wuj Theo.

- Przepraszam na chwilę. - Wstała i podeszła do drzwi, czując na sobie wzrok Grady'ego. - Powiedz wujowi Theo, że jestem teraz zajęta - zwróciła się do Kenta, który zamiatał korytarz.

- Już się robi.

Zamknęła drzwi i ruszała już w stronę swojego zaimprovizowanego biurka, kiedy z korytarza dobiegł ryk Kenta:

- Zamknęła się z Gradym! Są zajęci! - Słowo „zajęci” ciągnął tak długo, że Clarice chciała już krzyknąć, żeby się wreszcie zamknął. Nie zrobiła jednak tego i spojrzała z godnością na Grady'ego.

Słyszając odpowiedź Kenta, Grady ledwie stłumił chichot i z rozbawieniem obserwował rumieniec na policzkach Clarice.

- Będę musiała obciążyć cię kosztami doprowadzenia kuchni do porządku - oznajmiła sztywno.

- Pokryję wszystko. Przecież już wczoraj się do tego zobowiązałem.

- Rozmawiałam z wujem Stantonem. - Obracała w palcach ołówki, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Sprawiała wrażenie zakłopotanej. W końcu podniosła wzrok na Grady'ego. - Czy przestaniesz wreszcie bujać w obłokach?

- Jak to? - powiedział z uśmiechem. - A kiedy ja w nich bujałem?

- Na przykład wczoraj. Spowodowałeś pożar w kuchni.

- Kiedy masz następną randkę z Samem?

- Za... a co cię to obchodzi? - wzięła z kupki kartkę papieru. - Będziesz łaskaw wypełnić ankietę personalną?

- A po co! Przecież już pracuję.

- Może nam być potrzebny twój numer telefonu.

Uśmiechnął się, wziął formularz i, złożony go starannie, wsunął do kieszeni.

- Wypełnię i oddam ci przy najbliższej okazji.

- Możesz wracać do pracy - powiedziała.

- A ty nie idziesz?

- Muszę napisać list.

- Zdawało mi się, że wuj Theo cię wołał.

- Ach, rzeczywiście, zapomniałam - zarumieniła się i spojrzała na Grady'ego, a on zagryzł wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

Wstała energicznie. Grady również wstał i szybko zastąpił jej drogę. Przystanął, tak jak przewidywał. Oparł się ręką o ścianę zatrzymując ją między stolikiem a sobą.

- Oglądałem grafik - powiedział. - Jutro wieczorem mam wolne. Wybierzemy się gdzieś?

- Grady, wydaje mi się...

- Clarice - mruknął, przysuwając się bliżej i wdychając leciutki zapach jaśminu i róż. - Dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie... przynajmniej mnie już dawno z nikim nie było tak dobrze - ciągnął cicho.

- Grady, ja... - zaczęła i głos jej się załamał.

- Walczysz sama ze sobą. Przecież chcesz się ze mną umówić. Widzę to w twoich wielkich, błękitnych oczach.

- Kiedy jesteśmy razem, dochodzi do katastrof. - Ledwie dobywała z siebie głos.

Clarice brakowało tchu. Pamiętaj, on tylko sprowadza kłopoty - przypomniawszy sobie, ale widziała tylko jego morsko - zielone oczy, jego stworzone do pocałunków usta i jego wspaniałe tors. Objął ją w talii ramieniem. Oparła się o niego, a potem przywarła do Grady'ego i usta mężczyzny spotkały się z jej ustami, by je rozchylić i wziąć w posiadanie. Podniecona ulotnym zapachem jego wody po goleniu, przypominającym woń sosnowego lasu, gładziła dłońmi jego szerokie, silne ramiona.

Zza drzwi doszedł jakiś łomot, a potem głos Kenta:

- Buzi, buzi! Roześmieli się oboje.

- To jesteśmy umówieni na jutro wieczór? - spytał.

- Tak - odparła bez wahania, a on poczuł jednocześnie podniecenie i ulgę.

- A w sobotę? - spytał jeszcze, wstrzymując oddech.

- Przykro mi, ale na sobotę umówiłam się z Samem. Zejdź mi teraz z drogi i wracajmy do pracy, zanim Kent zacznie wykrzykiwać coś gorszego od „buzi, buzi”.

W piątek Clarice wyszła z pracy o siedemnastej trzydzięci, zaraz po Gradym. Wyjechała za nim z parkingu i kiedy skręcał w przeciwnym niż ona kierunku, znowu obudziła się w niej ciekawość, gdzie też mieszka jej nowy pracownik.

O ósmej była już gotowa. Powiedział, żeby ubrała się swobodnie, włożyła więc czerwone szorty i białą bluzkę. Poszli do nowej restauracji z wielkim wybetonowanym patio wychodzącym na staw. Usiedli przy czarnym, metalowym stoliku, zamówili marynowane krewetki z ryżem i jedli obserwując kaczki na wodzie i gawędząc przyjaźnie o życiu.

- Gdzie się wychowywałaś? - spytał.

- Tutaj, przy Lennox Street - odparła. Przemknęło jej przez myśl, że Grady może sobie nie życzyć, by pytała go o przeszłość, nie mogła się jednak powstrzymać. - A ty!

- W Fort Worth w Teksasie - powiedział, przesuwając palcami po wysokiej szklance z mrożoną herbatą. - Potem przenieśliśmy się do Hot Springs w Arkansas, a kiedy chodziłem do szkoły średniej zamieszkaliśmy w Oklahoma City. Ojciec zajmował kierownicze stanowisko w sieci sklepów Bixby Variety.

- Masz rodzeństwo - spytała, słuchając i próbując go rozszyfrować jednocześnie.

- Tak, starszego brata. Ma na imię Pat. Jest żonaty i mieszka w Houston. - Sięgnął przez stół i dotknął cienkiej, złotej bransoletki na nadgarstku Clarice. Koniuszki palców miał chłodne od zimnej szklanki. - Pat i Alice mają dwójkę dzieci, jestem więc wujkiem.

- Masz mieszkanie? - spytała.

- Mmm. Mówiłaś, zdaje się, że twoi rodzice mieszkają w Tulusie? - spytał, zmieniając temat. Wiedziała. Nic chciał zdradzić, gdzie mieszka.

- Mój ojciec pracuje w firmie Stone Brothers Paper & Box Company. A twój?

- Nie żyje.

- Przykro mi. Twoja matka pracuje?

- Nie. - W jego oczach wyczytała coś, co kazało jej wstrzymać oddech. Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła mu się tym samym.

Po chwili milczenia podjęli rozmowę, ale nie poruszali już tak osobistych tematów. Clarice doszła do wniosku, że zgadzają się w wielu sprawach. Podobały im się nawet te same filmy. Po wyjściu z restauracji Grady odwiózł ją do domu.

- Chciałbyś wejść? - spytała, bo było jeszcze wcześnie.

- Jasne, że bym chciał - odparł i otworzył przed nią drzwi jej mieszkania. Zatrzymał się zaraz za progiem i rozejrzał. Patrząc na znajome meble, brązowy dywan, przepastne fotele i chromowane krzesła, Clarice zastanawiała się, jak wygląda ten salon widziany jego oczyma. W oknach wisiały rośliny, a na ścianie przedstawiający strumień obraz, który odziedziczyła po poprzednim najemcy.

- Miło tu - stwierdził Grady.

- Zwyczajnie. Uśmiechnął się do niej.

- Ty tu mieszkasz i mnie się to podoba.

- Chcesz posłuchać muzyki?

- Chętnie. - Przeszedł za nią przez pokój i stanął obok, kiedy wybierała płytę. Nagle pocałował dziewczynę w kark, a Clarice znieruchomiała z płytą w ręku.

- Grady...

- Przez cały dzisiejszy wieczór miałem ochotę cię pocałować. - Odwrócił ją twarzą do siebie. Kiedy całował ją w usta, zarzuciła mu ręce na szyję. Wiedziała już, że jest zgubiona. Na dobre czy złe, zakochała się w Gradym O'Toole'u, i nie było na to rady.

Jego dłoń przesunęła się w górę i spoczęła na jej piersi, palce poszukały sutki. Westchnęła z rozkoszy i jej dłonie zsunęły się po jego plecach, po jędrnych pośladkach na uda.

- Nie rozpalaj mnie - wyszeptwała.

- Nie mogę przestać myśleć o tobie - wymruczał ochryłym głosem. - Pragnę cię.

Tylko resztki rozsądku kazały jej zachować ostrożność. Grady był lekkoduchem, mężczyzną, który mógł zniknąć z jej życia choćby jutro. Oderwała się od niego, stwierdzając, że przychodzi jej to trudniej, niż sobie wyobrażała. Usta miał czerwone od pocałunków, oczy na wpół przymknięte, oddech ciężki. Spojrzawszy na niego, zapragnęła znowu przywrzeć do tego mężczyzny.

- Jestem staroświecka, Grady. Zauważyłeś już, że do niczego nie podchodzę lekko, a zwłaszcza do kontaktów z mężczyznami.

- Tak, zauważyłem - mruknął, a głos rozsądku podpowiedział mu, że oto otwiera się przed nim ostatnia szansa odwrotu.

- Chyba powinniśmy się już pożegnać.

- Jeszcze nie. Puść tę płytę i porozmawiamy.

Rozmawiali do północy. Clarice straciła poczucie czasu. Była zaskoczona, kiedy Grady wstał i zaczął się zbierać do odejścia.

Pocałował ją w progu na dobranoc i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie i przymknęła oczy. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie chcę się zakochać w sprzedawcy tamali - powiedziała na głos do pustego korytarza i westchnęła. - Kocham sprzedawcę tamali.

Jak to wytłumaczyć poważnemu, praktycznemu ojcu, który nauczył ją, że w życiu przede wszystkim liczy się bezpieczeństwo?

Gdy Clarice toczyła bój ze swymi uczuciami, Grady przeżywał podobne rozterki. Jechał do domu, mruczając do siebie pod nosem. Libido przekonywało go, że był to jeden z najpiękniejszych wieczorów w jego życiu, a Clarice jest wspaniałą dziewczyną, podczas gdy głos rozsądku zrzędził, że Grady pakuje się w wielką kabałę.

Ta niedzielna randka podsyciła ich uczucia i po niej Clarice nie umawiała się już z Samem. Codziennie wychodziła z pracy z Gradym, wspólnie spędzali weekendy i wolne wieczory. Ale on nigdy nie zaprosił jej do siebie.

Cztery razy przypominała mu, że ma zwrócić wypełnioną ankietę personalną i kiedy wreszcie ją oddał, zamknęła się w

swoim biurze, szybko przebiegła wzrokiem formularz. „Imię i nazwisko: Grady O'Toole. Adres: 33300 Wilmington.”

Opuściła rękę, w której trzymała formularz i zmarszczyła czoło - nigdy nie słyszała o ulicy Wilmington.

Ponownie podniosła kwestionariusz do oczu i czytała dalej: „Telefon: 555 - 0130. Kontakt: Sam Banks, Leonard Smith, T. Elliott.” Miejsca na telefony przy tych trzech nazwiskach pozostawały puste. Wyjęła z szuflady plan miasta i poszukała na nim ulicy Wilmington.

Wieczorem pojechała pod adres wpisany do ankiety. Ulica Wilmington znajdowała się po drugiej stronie miasta, a pod podanym przez Grady'ego numerem, pomiędzy dwoma magazynami z betonowych płyt, rozpościerał się zarośnięty wybujałym zielskim plac. Patrzyła z konsternacją na to pole i zastanawiała się, gdzie naprawdę sypia Grady O'Toole.

Minęły trzy tygodnie i nadszedł w końcu wieczór, kiedy Clarice zdecydowała, że pora się o tym przekonać, choćby rzeczywiście miało się okazać, że Grady O'Toole sypia pod mostem.

Rozdział 8

Grady skręcił w kierunku jej domu. Siedząca obok Clarice poprawiła się niespokojnie w fotelu, wygładziła spódnicę na kolanach i spojrzała na kierowcę.

Ubrany był w jasnozieloną, rozpiętą pod szyją koszulę i beżowe, dopasowane spodnie podkreślające smukłość jego bioder. Serce zabiło jej żywiej. Zapragnęła go dotknąć, poczuć wokół siebie jego ramiona.

- Grady, pojedźmy dzisiaj wieczorem do ciebie. Nie widziałam jeszcze, jak mieszkasz.

- Proszę bardzo, ale moje mieszkanie to nic nadzwyczajnego.

- Jest częścią ciebie, a ja nie mam pojęcia, jak wygląda. Chcę je zobaczyć.

Prowadził samochód, patrząc przed siebie z beznamietnym wyrazem twarzy i Clarice dużo by dała, żeby się dowiedzieć, o czym Grady teraz myśli.

- Ale przedtem wpadnijmy do ciebie - powiedział po chwili. - Zabierzemy parę płyt. Przystała na to i parę minut później otwierała już drzwi swojego mieszkania. Światło przesączające się z salonu ledwie rozpraszało panujący w korytarzu mrok. Kiedy sięgnęła do kontaktu, Grady chwycił ją za rękę. Jego ciepłe palce splotły się z jej palcami i przyciągnął dziewczynę łagodnie do siebie.

- Grady...

Przerwały jej jego usta. Podczas gdy ją całował, jego dłoń przesunęła się w górę na plecy, szyję i wplotła w jej włosy. Jego pocałunki zawsze podniecały Clarice, ale ten rozniecił w niej prawdziwy żar. Zadrzała z pożądania, zapomniała, że mieli jechać do niego, liczył się tylko Grady. Kiedy chciała się od niego odsunąć, przytrzymał ją i szepnął:

- Clarice, kocham cię...

Serce zabiło jej jak młotem, ale podświadomie zadała sobie pytanie, czy nie składa tej deklaracji tak samo lekko, jak podchodził do reszty życia. Przez chwilę zawahała się, wiedząc, że jeśli już odda komuś serce, będzie to uczucie głębokie i trwałe.

- Clarice - wyszeptał znowu z czułością i jego palce zaczęły rozpinąć guziki białej bluzki. Wsunął dłoń pod stanik, wyłuskał pierś i dotknął bladoróżowej sutki. Clarice ogarnęła ekstaza; widok twarzy Grady'ego rozpałił w niej pożar. Zacisnęła powieki i przywarła do ciała mężczyzny, gładząc dłońmi jego plecy. Kiedy językiem i dłońmi przesuwiał po jej ciele, Clarice czuła, jak miłość rozkwita w niej niczym kwiat otwierający się pod wpływem słonecznych promieni.

Grady przerwał pieściznę i rozpinając koszulę obserwował dziewczynę pociemniałymi oczyma. Przytuliła się znowu do jego wspaniałej, szerokiej piersi. W kilka chwil zdjął z Clarice resztę ubrania i odsunął ją na długość wyciągniętych ramion, żeby popatrzeć na nagie ciało dziewczyny.

- Mógłbym ci się tak przyglądać ze sto lat - wyszeptał - i jeszcze nie miałbym dosyć.

Kiedy spojrzała na niego, poczuła to samo. Drżącymi z pośpiechu palcami rozpięła mu pasek. Pomógł zsunąć spodnie z bioder; opadły na podłogę. Wziął ją na ręce. Kiedy niósł Clarice do sypialni, obejmowała go rękoma za szyję.

Położył ją na łóżku. Wyciągnął się obok, wziął ją w ramiona i pieścizną całował powoli, niespiesznie, obserwując dziewczynę spod przymkniętych powiek. Oczy miał ciemne jak szmaragdy.

- Grady, pragnę cię, kocham... Pochylił się i ujął jej twarz w dłoń.

- Powtórz to, Clarice - wyszeptał, patrząc jej poważnie w oczy.

- Pragnę cię, kocham cię.

Zanim przycisnął ją mocno do siebie, coś zamigotało w głębi jego źrenic i pękły ostatnie bariery. W miarę jak narastało pożądanie, pocałunki Grady'ego stawały się coraz bardziej szalone, pieszczoty Zachłanne, aż w końcu rozsunął nogi dziewczyny. Powoli wszedł w jej ciepłą miękkość. Kiedy krzyknęła, znieruchomiał na chwilę.

- Nie chcę sprawiać ci bólu - wymruczał schrypniętym głosem.

- Weź mnie, Grady - ponagliła go, przywierając do niego. Jej biodra uniosły się na spotkanie w odwiecznym tańcu, ich serca zabiły unisono i już wiedziała, że właśnie tego pragnęła. Grady był dla niej ważniejszy niż ktokolwiek na świecie.

Okrzyk ekstazy zmieszał się z pieszczotliwymi słowami, które Grady szeptał jej do ucha.

- Kocham cię, Clarice, kocham...

Potem jego głos przeszedł w jęk, a ciało zadygotało w spełnieniu. Kiedy osunął się na nią całym ciężarem, wtuliła się w niego w błogim rozleniwieniu. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl - należała do Grady'ego i w tej chwili on należał do niej.

Pocałowała go w bark, w skroń i odgarnęła sobie z policzka kosmyk wilgotnych włosów. Grady zsunął się na bok i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Szczęśliwa?

- Bardzo - powiedziała i objęła go ramionami za szyję. - Kocham cię.

- Staroświecka Clarice, która w łóżku wcale nie jest staroświecka - wyszeptał, pieszcząc znowu wargami jej ciało.

Roześmiała się i przesunęła palcami po jego szorstkiej szczęce.

- Seksowny Grady, który i w łóżku jest seksowny!

- Lubię słuchać, jak się śmiejesz. - Połaskotał ją i znowu się roześmiała. Przesunęła palcami po jego klatce piersiowej.

- Masz wspaniały tors, muszę przyznać... to przez niego minęłam wtedy podjazd, zapatrzyłam się. Zachichotał i potarł nosem o jej szyję.

- Dalej uważasz mnie za tamalowego typa? - Nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad Clarice, otoczył ramieniem i pocałował. Był słońcem jej życia. Przywarła do niego, żeby dać mu rozkosz.

Dochodziła druga nad ranem, kiedy Grady ubrał się i, po długim pocałunku w progę, wyszedł. Zamknąwszy za nim drzwi, Clarice wróciła do pokoju. Popatrzyła na mahoniowe łóżko z różową pościelą, prostą, starą mahoniową komódkę z szufladkami i toaletkę. Uświadomiła sobie, jak głęboko zaangażowała się dzisiejszego wieczoru, ale jednocześnie przypomniała sobie, że wciąż nie wie, gdzie mieszka Grady:

Nazajutrz o dziewiątej rano Grady, nucąc pod nosem, minąwszy opuszczony stragan z tamalami, skręcił w podjazd do King's Crown. Przez liście drzew przesączały się promienie słońca. Gładka powierzchnia jeziora połyskiwała srebrzyście, a na zielonych, opadających ku wodzie brzegach siedziały łabędzie niczym białe wydmuszki i czyściły sobie pióra.

Grady zerknął na King's Crown i przestał nucić. Dni przepracowane w restauracji zaczynały się odbijać na jego nerwach. Gdyby nie to, że dzięki temu był blisko Clarice, rzuciłby tę posadę.

Skręcił za róg i zobaczył Theo przekopującego sąsiadujący z parkingiem kawałek ziemi. Słońce połyskiwało w jego kasztanowych kędziorach. Ubrany był w workowate, robocze spodnie, podtrzymywane brązowymi szelkami i brązową koszulę. Przypominał postać ze starego filmu.

Grady zaparkował, po czym wysiadł z samochodu. Theo uśmiechnął się wsparty na motyce.

- Dzień dobry. Piękny dzionek.

Grady wciągnął w płuca haust świeżego powietrza i też się uśmiechnął.

- Wspaniały.

- Nie oglądasz prawie słońca w tej restauracji.

- Tak, to fakt.

- Nie tęsknisz trochę za swoim tamalowym interesem?

Grady potarłszy dłonią kark, popatrzył na stragan.

- Nie zastanawiałem się nad tym. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że mi go brakuje.

- Dobrze były te twoje tamale. Ale może teraz lepiej zarabiasz?

- Nie powiedziałbym - mruknął cierpko Grady. - Na tamalach lepiej wychodziłem.

- Naprawdę? To czemu to rzuciłeś? Dla pewniejszego zarobku?

- Nie. Pomyślałem sobie, że mogę się tu czegoś nauczyć.

- A, rozumiem - powiedział Theo i znowu zaczął machać motyką. - Słyszysz te gile? - rzucił po chwili.

- Tak, słyszę.

- W kuchni słuchasz chyba tylko brzęku talerzy. Powinieneś wyjść co jakiś czas i posłuchać... jak pięknie śpiewają. Bez troski. Ale chyba wszystkie ptaki są bez troski.

- Próbujesz zniechęcić mnie do pracy w restauracji i nakłonić do powrotu do tamali?

- Kto? Ja? - zachnął się Theo, wytrzeszczając błękitne, niewinne jak śpiew gila oczy. - Słowem o tym nie wspominałem. Wiem, że tu bezpieczniej i że możesz być przez cały dzień z Clarice. Pracujesz pod dachem. Nie musisz przejmować się deszczem ani śniegiem. Jak zamierzałeś handlować tamalami, kiedy nadejdą śniegi?

- Pomyślałem o tym. Planowałem rozbić nad straganem namiot, albo coś w tym rodzaju - Grady znowu potarł dłonią kark.

- No tak - ciągnął Theo - ale gdybyś wrócił do tego teraz, musiałbyś zaczynać praktycznie od początku.

- Nie sędzę - zaproponował Grady. - Handlowałem tu zaledwie miesiąc, ale interes się rozkręcał. Nosilem się nawet z zamiarem rozstawienia jeszcze dwóch, albo i trzech straganów w innych punktach miasta.

- O rany, naprawdę musiało ci dobrze iść! - wykrzyknął Theo i znieruchomiał z rękami na długim kiju motyki. - Lubisz pracować na własny rachunek?

- Owszem. Przed tamalami też prowadziłem własny interes. Nie powiedziałem jeszcze Clarice, czym się wtedy zajmowałem.

- Bałeś się, że to ją do ciebie zniechęci?

- Nie. Obawiałem, się czegoś wręcz przeciwnego. Chciałem, żeby polubiła mnie jako sprzedawcę tamali.

Theo roześmiał się. W jego błękitnych oczach płonęły iskierki wesołości.

- Chyba możesz spać spokojnie. A więc co przedtem robiłeś?

- Zajmowałem się wierceniami, ale nie mów jej tego.

- Ja cię nic wydam. Poczekam, aż sam się jej zwierzysz. Wiercenia, a teraz tamale. Dziwna odmiana.

- Tak, ale jestem zadowolony. - Grady patrzył na Theo, który powrócił do kopania. - Co ty właściwie robisz?

- Pomyślałem sobie, że tej ziemi nie zaszkodzi trochę kultywacji. - Theo uśmiechnął się. - A poza tym, lubię sobie od czasu do czasu posłuchać śpiewu gili.

- Mam wrażenie, że jestem manipulowany.

- Przez Clarice?

- Nie, nie przez nią. Dlaczego kazałeś tamtym ludziom zwalić ziemię pod drzwiami restauracji? Theo przerwał kopanie.

- Przepraszam, ale nie wiem, o czym mówisz. Jaką ziemię?

- Nie pamiętasz? W zeszłym miesiącu zwalono pod drzwiami od zaplecza całą wywrotkę ziemi. Theo zagłębił palce w kasztanowe kędzioły i, drapiąc się w głowę, popatrzył w kierunku restauracji.

- Ziemia... przepraszam. Pamięć zaczyna mnie zawodzić. Wiesz, pamiętam, ile kosztował bochenek chleba przed dwudziestu laty, a nie mogę sobie przypomnieć, ile wczoraj zapłaciłem w sklepie. Zobaczysz, jak to jest, kiedy będziesz stary.

- Tak - powiedział Grady i wszedł do środka widząc, że wypytywanie Theo do niczego nie doprowadzi.

Gdy płukał główki sałaty, spoglądał przez okno w kierunku straganu z tamalami i narastała w nim chęć, by tam wrócić.

Kiedy Clarice parkowała na tyłach restauracji i wysiadała z samochodu, Grady już się zdecydował.

Dziewczyna miała na sobie różową letnią sukienkę, a we włosach wstążkę w tym samym kolorze. Grady'emu żywiej zabiło serce. Przemknęło mu przez głowę, że pracując z nią byłby szczęśliwszy, ale zagłuszył go głos rozsądku.

Kiedy Clarice weszła do kuchni, poprosił ją o rozmowę na osobności. Weszli do biura i ledwie drzwi zdążyły się za nimi zamknąć, wziął ją w ramiona i wciągnął w nozdrza słodki zapach, który zawsze się wokół niej unosił.

- Grady! Jesteśmy w pracy.

- Mhmmm - wymruczał, gładząc jej szyję. - Tak wspaniale pachniesz.

- Ty też - odparła bez tchu, nadstawiając usta do pocałunku.

W chwilę potem wyswobodziła się z jego objęć i podeszła do stołu, który służył jej za biurko. Grady stał na lekko rozstawionych nogach, z założonymi na piersi rękami. Białą koszulę miał rozpiętą pod szyją, a ciemne spodnie idealnie dopasowane do figury.

- Chciałeś ze mną porozmawiać - przypomniała.

- Tak, chciałem - powiedział z uśmiechem.

- A więc słucham, bo Kent zaraz coś wymyśli z związku z naszym zniknięciem - ponagliła go ze śmiechem.

- Wiesz co, Clarice? Śmiejesz się częściej niż dotąd.

- To dzięki tobie. A teraz mów, o co chodzi, bo praca czeka.

- Wiem. Jesteśmy umówieni na dzisiejszy wieczór.

- Pamiętam.

- Słoneczko, było cudownie... - urwał, podszedł do niej i pocałował ją w szyję. - Ale składam wymówienie. Powiadamiam cię o tym z tygodniowym wyprzedzeniem, żebyś miała czas na znalezienie kogoś na moje miejsce.

- Hmm - wymruczała rozkosznie rozkojarzona jego pocałunkami i dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie tego, co powiedział. - Odchodzisz?

- Tak - odparł i pocałował ją w ucho.

- Grady! - Zerwała się z krzesła i wlepiła w niego wzrok.

- Nie możesz odejść!

- Dlaczego?

- No, właściwie to możesz, ale myślałam... Ty i ja... miło jest pracować razem.

- Wspaniale, tylko że ja tu do niczego nie dojdę, Clarice.

- A dojdiesz do czegoś ze swoim straganem z tamalami?

- Tak, wydaje mi się, że tak - powiedział, czując, że przechodzi powoli do ofensywy.

- Wuj Stanton będzie niepokieszony - powiedziała, doświadczając dziwnej mieszanki emocji: rozczarowania, zaskoczenia, lekkiej irytacji. - Upoważnił mnie do zaproponowania ci podwyżki.

- Przykro mi, ale jej nie przyjmę.

- To będzie wysoka podwyżka. On pójdzie na wszystko, byle cię tylko zatrzymać.

- Ja już się zdecydowałem - oświadczył stanowczo Grady. Przechyliła głowę i przyglądała mu się bacznie.

- Tutaj masz większe perspektywy.

- Nie sądzę. Kiedy zaczynałem tu pracę, mój tamalowy interes szedł wspaniale.

- Jak to? To tylko mały straganik. Tutaj mógłbyś z czasem dojść do stanowiska zastępcy kierownika.

- Za długo by to trwało. A poza tym, lubię sam sobie być szefem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie lubisz się przemęczać.

- To praca taka sama, jak ta. Czy problem mojego zajęcia ma nas rozdzielić? - spytał wesoło, ale czuła, że Grady uważnie ją obserwuje.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odparła, bo nic lepszego nie przychodziło jej akurat do głowy. Przytłaczała ją myśl, że Grady będzie znowu sprzedawał tamali. - Tylko że to takie... mało ambitne.

- To bardzo przyjemny, mały interes i mnie bardzo odpowiada. - Uśmiechnął się, a Clarice, ku własnemu zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

- Będzie mi ciebie brakowało - mruknęła, czując że to za słabo powiedziane.

- Nie będę daleko - odparł. - A teraz, skoro jeszcze ze sobą pracujemy... - otoczył ramionami jej talię i przyciągnął dziewczynę do siebie, żeby znowu pocałować.

- Clarice kocha Grady'ego! Hip, hip, hura! - rozległo się za drzwiami. Wyrwała się z ramion Grady'ego.

- Muszę go wreszcie przywołać do porządku - powiedziała.

- O, tak - przytaknął i uśmiechnął się. Otworzyła drzwi na korytarz. Kent zniknął już w sali jadalnej. Popatrzyła na szerokie bary Grady'ego, który szedł już w stronę kuchni i westchnęła. Miło się z nim pracowało, bez niego restauracja nie będzie już taka sama. Nie rozumiała, jak można przedkładać stragan z tamalami nad pracę w znanej, cieszącej się dobrą opinią restauracji. Spochmurniała, kiedy przypomniało jej się, że nadal nie wie, gdzie mieszka Grady - w swoim samochodzie, czy gdzie indziej. Miała jeszcze jedno zmartwienie: będzie musiała zatelefonować do wuja Stanton'a i powiadomić go o rezygnacji Grady'ego.

Kiedy zrobiła to wieczorem, przed zamknięciem lokalu, wuj Stanton zaczął kląć. Czekala, aż się uspokoi, trzymając słuchawkę z dala od ucha.

- W przyszłym tygodniu wracam do pracy - oznajmił na koniec wuj Stanton. - Jutro wpadnę do was i zobaczę, jak sprawy stoją. Zaproponuj mu... diabli nadali! Zaproponuj mu dolara więcej za godzinę.

- Już mu to proponowałam, ale wydaje mi się, że jego satysfakcjonowałyby tylko stanowisko kierownika.

- Żaden handlarz tamalami nie będzie prowadził mojej restauracji! Dolara za godzinę więcej. Ani centa ponad to. Już ja coś wymyślę, żeby go wykurzyć spod naszych drzwi razem z tą jego budą.

- Przygotuję ci na rano raporty kasowe.

- Przygotuj. Obmyślę strategię ataku. Na razie złóż mu ofertę.

- Dobrze. Dobranoc, wuju Stantonie.

- Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę i stała, gapiąc się na aparat.

- Jakież kłopoty? - usłyszała. Odwróciła się i zobaczyła w progu Grady'ego.

- Kazał mi zaproponować ci dolara za godzinę więcej.

- Przykro mi. Muszę wracać do swoich tamali.

- Spodziewałam się takiej odpowiedzi. No, to zamykamy i idziemy do domu?

- Im prędzej, tym lepiej. - Otoczył ją ramieniem i wyszli razem do samochodu. Kiedy skręcał z podjazdu na ulicę, położyła mu rękę na ramieniu.

- Grady - powiedziała - chcę zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Rozdział 9

Chyba nadeszła pora - powiedział Grady, zerkając z ukosa na Clarice. Zauważyła, że wyraźnie przygaśł, przygotowała się więc na najgorsze. - Clarice, muszę ci coś o sobie powiedzieć.

Skurczyła się ze strachu na myśl, że jego sytuacja jest widocznie gorsza, niż sobie wyobrażała.

Czekała, ale nic więcej nie powiedział. Clarice też milczała, dając mu szansę, by wyznał jej wszystko " po swojemu, wtedy, kiedy będzie miał na to ochotę. Zauważyła, że wjechali tymczasem do eleganckiej dzielnicy. Minęli ją i znaleźli się w tej najlepszej, gdzie mieściły się same wspaniałe rezydencje. Grady skręcił w Windemere West Condominiums, ulicę, przy której stały niedawno wzniesione kamienice z luksusowymi apartamentami.

Grady zaparkował w garażu i pomógł jej wysiąść z wozu. Weszli do krytego patio, które zdobiły gliniane donice ze złotymi hibiscusami i czerwonym geranium. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

- To twoje? - spytała oszołomiona elegancją wnętrza.

- Tak - odparł i przymrużył oczy.

- Myślałam... - Nie dokończyła. Wodziła wokół wzrokiem, podziwiając piękne dębowe szafki, owalny dębowy stół i krzesła, wysoką, żółtą lodówkę - zamrażarkę, kuchenkę mikrofalową stojącą na kontuarze. - Myślałam... - Spojrzała na niego i zauważyła, że przygląda jej się z napięciem. - Myślałam, że nie masz domu - wydusiła wreszcie. - Wyobrażałam sobie, że mieszkasz pod mostem.

Wybuchnął śmiechem.

- Pod mostem? - wyciągnął do niej rękę. Jego ciepłe dłonie spoczęły na jej nagim ramieniu, a jeden palec wsunął się pod ramiączko letniej sukienki. - Powiedziałaś to tak, jakbyś doznała lekkiego zawodu.

- Robiłeś wszystko, żeby wyrzucić na mnie takie wrażenie. Dlaczego?

Otoczył ją ramionami. Stała sztywno, obserwując w jego oczach rozbawienie i coś jeszcze, coś nieokreślonego. Z jego pierwszych słów zorientowała się, że jest szczęśliwy i że opadło z niego jakieś napięcie.

- Chciałem, żebyś pokochała mnie jako sprzedawcę tamali albo wcale - powiedział łagodnie. - Nie przyszło mi nawet do głowy, że będziesz zła, kiedy się dowiesz, że nie jestem takim zupełnym nędzarzem.

- Nie byłeś ze mną szczery!

- Wiem, że nie byłem, i przepraszam cię za to. Ale chciałem, żebyś pokochała mnie bez względu na majątek.

Przyglądała mu się przez chwilę.

- I pokochałam - powiedziała, uświadamiając sobie, że jej uczucie jest głębsze, niż to sama przed sobą przyznawała. Obudziła się w niej teraz ciekawość. - Skąd znasz Sama Banksa?

- Pracował kiedyś u mnie - odparł Grady, ujmując ją za rękę. - Usiądźmy. Opowiem ci o sobie. Chcesz się czegoś napić? Herbaty? Kawy?

- Może szklankę mrożonej herbaty.

- Już się robi. Nalał dwie szklanki herbaty z dzbanka, który wyjął z lodówki. - Przejdźmy do salonu. Oniemiała na moment na widok sofy i foteli obitych piękną, bladoniebieską skórą, antyków, którymi

udekorowany był pokój, dostojnego, starego zegara i olejnych obrazów na ścianach. Grady opadł na sofę i pociągnął ją za sobą.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Dlaczego sprzedajesz tamale?

- Pozwól, że cofnę się o kilka lat - powiedział, wodząc palcami nad jej kolanem. Łaskotanie rozproszyło częściowo

jej uwagę. - Ukończyłem politechnikę. Gdy miałem dwadzieścia sześć lat założyłem własną firmę zajmującą się wierceniami. Rozrosła się dzięki boomowi naftowemu. Trzy lata temu mój kuzyn Bart wyraził chęć pracowania ze mną i wszedł w interes. Jest dobry w kontaktach z ludźmi; ja wolę pracę w terenie. Interes kwitł i firma się rozrastała. Bart wniósł pewien kapitał i został moim wspólnikiem. Część akcji odstąpiliśmy mamie.

Bart jest człowiekiem agresywnym i po jakimś czasie postanowił przejąć firmę. Z początku zaproponował, że ją ode mnie wykupi, ale odmówiłem i zaproponowałem, że to ja wykupię jego udziały, by mógł rozkręcić własny interes. Nie zgodził się, bo nie chciał wracać do biznesu na mniejszą skalę. Przez jakiś czas trwały między nami targi. Potem Bart zdecydował się działać za moimi plecami. Nakłonił mamę do odsprzedania mu części jej akcji i w ten sposób wszedł w posiadanie pakietu kontrolnego. I znowu próbował mnie wykupić.

- A twoja matka nie zorientowała się, o co mu chodzi?

- Nie. Nigdy nie pracowała i nie interesowała się zbytnio działalnością naszego przedsiębiorstwa.

- I sprzedałeś mu swoją firmę?

- Nie. Na razie odsunięto mnie tylko od udziału w zarządzaniu i wtedy wpadł mi w oko ten stragan z tamalami.

Roześmiała się i pokręciła głową.

- Z inżyniera na sprzedawcę tamali! Grady, przecież to niedorzeczne!

- Zobaczyłem ten stragan na wyprzedaży i, nie zastanawiając się wiele, kupiłem go. Siedziałem tu beczynn timer dwa tygodnie i z każdą minutą czułem się coraz gorzej. Ten stragan spadł mi z nieba. To coś wspaniałego. Już ci mówiłem, że lubię gile i dęby. Lubię ryzyko.

- A więc zamierzasz spędzić beztrąsko resztę życia przy tamalach? - spytała, starając się, by w jej głosie nie brzmiało rozczarowanie.

- Jeszcze nie wiem. Może to tylko tymczasowe zajęcie, może coś na dłużej.

- Grady, to takie... niepewne. Nie masz żadnych świadczeń, emerytury, ubezpieczenia. Uśmiechnął się.

- Praktyczna, ostrożna Clarice. Jeśli rozbuduję to do pewnego poziomu, będzie mnie stać na to wszystko. Teraz chcę podjąć ryzyko i zamiast oglądać się na zabezpieczenia socjalne, sam być sobie szefem.

- Czas szybko mija, Grady, i nie można go cofnąć - powiedział przerażona jego postawą oraz odkryciem, że dzieląca ich przepaść jest głębsza, niż podejrzewała. - Za trzy lata wciąż jeszcze będziesz sterczał wśród ptaszków i drzew i niczego się nie dorobisz.

- Może tak, może nie - powiedział spokojnie, ale wyczuła w jego tonie stanowczość. - Nie wiem, co będzie za trzy lata. Procesuję się z Bartem o firmę...

- Co takiego?

- Procesuję się z nim. Nie rezygnuję bez walki. Ja rozkręciłem ten interes i należy mi się więcej, niż on zamierza mi dać.

- Procesujesz się z krewnym?

- Oho! Z tonu wnoszę, że tego nie pochwalasz.

Patrząc na niego, uświadomiła sobie, jak mało go zna i jak źle go oceniała.

- No cóż, jestem zbulwersowana - powiedziała ostrożnie.

- Czym?

- To jakieś niesmaczne. Ja nigdy nic ciągałabym krewnego po sądach - odparła, ale nie to gnębiło ją teraz najbardziej. Grady czekał, spróbowała więc wyrazić to, co czuła. - Nie jesteś taki, jak myślałam. Jesteś twardy i

ambitny... jesteś przeciwieństwem mężczyzny, za jakiego cię dotąd uważałam.

- Niezupełnie. Może zmylił cię ten stragan z tamalami, ale ja nadal jestem sobą, Gradyem O'Toole'em.

- Jak możesz procesować się z krewnym?

- Nie zapominaj, że on zaczął. Podstępem przejął kontrolę nad moją firmą - powiedział Grady sztywno, ścigając gniewnie brwi.

- Mimo wszystko jak możesz dochodzić swoich praw na drodze sądowej? Ja bym tego nie potrafiła.

- To by się okazało, gdybyś znalazła się w mojej sytuacji. Gra idzie o wysokie stawki,

- Ważniejsze są więzy rodzinne.

- To sprawa między mną a moim kuzynem - mruknął, przesuając palcami nad jej kolanem. - Czy ma nas poróżnić?

- spytał lekko, a kiedy nie odpowiadała, podniósł na nią wzrok.

- Nie rozumiem cię - odezwała się wreszcie. - Nie rozumiem, jak możesz podawać do sądu własnego kuzyna. Nie rozumiem, jak inżynier może kupować stragan z tamalami, zamiast podjąć pracę w swoim zawodzie.

- Kiedy już raz prowadziło się własną firmę, trudno potem przestawić się na pracę pod czyimś kierownictwem. A ten stragan z tamalami miał mi tylko pomóc w zabiciu czasu. Musiałem się czymś zająć w oczekiwaniu na rozprawę. Kiedy jednak zacząłem handlować, spodobało mi się.

Otoczył ramieniem talię dziewczyny i wciągnął ją sobie na kolana.

- Jedno wiem na pewno, wciąż jestem bardzo zakochany - powiedział. Pochylił się, żeby ją pocałować. Jego gęste rzęsy opadły i zamknął oczy. Clarice zarzuciła mu ręce na szyję i nadstawiła usta do pocałunku, ale gdzieś w głębi jej duszy dokonywało się przewartościowywanie uczuć, jakie do niego

żywiła. Bulwersowało ją i trochę przerażało odkrycie, co naprawdę kryło się w Grady za zasłoną tego beztróskiego czaru. Stopniowo jednak, w miarę jak całą jej uwagę zaczynały absorbować jego pieśczęty, a słodkie słówka, które wymrukiwał jej do ucha, podnosiły temperaturę w pokoju, jej obawy topniały. Było już po pierwszej nad ranem, kiedy odwiózł Clarice pod dom i pożegnał, całując na dobranoc. Weszła do sypialni. Na nowo analizowała wszystko, czego się dowiedziała.

Przeszedł ją kolejny zimny dreszcz - stwierdziła, że ich związek nie będzie trwały. Zdawała sobie sprawę, że Grady, choć mówi o miłości, wiodąc obecnie tak nieustabilizowany tryb życia, nie ma zamiaru, w nic się poważnie angażować.

Z tym przekonaniem wślizgnęła się do łóżka, ale jeszcze przez godzinę nie mogła zmrużyć oka.

Jadąc nazajutrz do pracy, z daleka dostrzegła łopoczący na wietrze transparent „Gorące Tamale O'Toole'a Mniam! Mniam!” Pod nim stał Grady - znowu w szortach - drażniąc zmysły wystawionym na widok publiczny, wspaniałym torsem. Ale kiedy pomachał jej z uśmiechem, odwzajemniła mu się tym samym.

W drzwiach King's Crown zderzyła się z nachmurzonym Kentem.

- Uważaj, siostrzyczko. Wrócił. - Kto?
- Wuj Stanton. Piekli się, niezadowolony ze wszystkiego, co zrobiliśmy.
- Jak to: niezadowolony? Przecież jest lepiej, niż było.
- On tak nie uważa.
- Theo! - rozległ się zrzędlawy głos i Kent aż podskoczył.
- O rany! Idzie. - Kent zniknął w kuchni w momencie, kiedy zza rogu korytarza wyłaniał się wuj Stanton w tym samym co zawsze wyświeconym ze starości na łokciach i kolanach szarym garniturze.

- Gdzie ten Theo? Nieuchwytny jak wiatr w polu! - Gderał wuj Stanton, kuśtykając o lasce. Na nogach miał laczki z wycięciami na palce, a czoło pod przylizanymi kasztanowymi włosami przesłaniała gradowa chmura niezadowolenia.

- Clarice! Już dziesięć po dziesiątej. Sądziłem, że przychodzisz wcześniej.

- Zazwyczaj tak.

- Chodź do mojego biura. Porozmawiamy sobie.

- Dobrze, wuju. - W biurze wuja Stantona unosiła się leciutka woń stęchlizny. Wszędzie wały się sterty papierzysk, pod ścianą stała oszklona szafka pełna starych książek, a nad zagraconym biurkiem wisiał kalendarz z zeszłego roku.

Wuj Stanton usiadł na obrotowym krześle, wyciągnął nogi i oparł je na tekturowym pudle.

- Musimy omówić parę spraw. Rachunek za owoce za zeszły tydzień jest bardzo wysoki.

- Ceny owoców poszły w górę. Kupuję je tam, gdzie ty, wuju.

- Jeśli ceny owoców poszły tam w górę, to powinnaś poszukać innego dostawcy. Zauważyłem pewne zmiany w menu.

- Wprowadziłam kilka nowych pozycji. Wydaje mi się, że chwyciły. Cuong ma niebywały talent do potraw z ryb.

- Bzdura. Więcej pozycji w jadłospisie, to większe koszty własne. Przez lata była tu wspaniała smażalnia steków i nikt nie narzekał na brak urozmaicenia.

- Teraz, kiedy mamy zapewnione dostawy świeżych ryb, potrawy z nich robią się coraz bardziej popularne.

- Wiem o tym, ale im więcej pozycji w karcie, tym więcej zawracania głowy w kuchni. Trzeba minimalizować koszty. Przejmuję bar.

- A co z wujem Theo? - spytała wstrząśnięta.

Ciemne oczy wuja Stanton'a przesunęły się na stary obraz wiszący na ścianie.

- Theo może wracać tam, skąd przyszedł. Clarice zmartwiała.

- Ale mówiłeś przecież, że jeśli obroty wzrosną...

- Nie wzrosły wystarczająco i rachunki są wysokie. Muszę się odkuć. Idą ciężkie czasy.

- Co innego nam obiecywałeś - powiedziała, nie wierząc własnym uszom.

- Robię, co muszę. Ciebie mianuję kierowniczką i możesz pracować tu dalej na dotychczasowych warunkach. Nie wypłacę wam obiecanej premii, bo mamy za duże wydatki i obawiam się, że zmierzamy najkrótszą drogą do bankructwa.

Słuchała tego z niedowierzaniem, ogłuszona tym, że złamał dane słowo.

- Kent też będzie musiał odejść - ciągnął wuj Stanton - ale on i tak by odszedł. Tydzień czy dwa wcześniej to bez znaczenia.

- Zamiast mnie zatrzymałbyś lepiej wuja Thea - powiedziała. - Ja mogę wrócić do poprzedniej pracy.

- Nie ma mowy. Potrzebna mi ładna dziewczyna do sadzania gości, a barem sam się mogę zająć.

- Obroty najbardziej wzrosły w barze - zauważyła. - O osiem procent, a na sali tylko o pięć. To dzięki wujowi Theo. Ludzie lubią z nim rozmawiać.

- Co ty mi tu opowiadasz! Oni lubią rozmawiać z każdym. Ja teraz z nimi porozmawiam. Nie rozkręciłem tej restauracji przez lekceważenie klientów. Teraz bierz się do roboty, a jak interes będzie szedł, dam ci podwyżkę.

- Dobrze, wuju - bąknęła z przyzwyczajenia, martwiąc się o wuja Theo. - Czy wuj Theo już wie?

- Wie. Zresztą i tak zmienia prace jak rękawiczki. To wymówienie spłynie po nim jak po kacze. Tylko w ten sposób mogę się utrzymać na powierzchni. Czy wiesz, ile restauracji padło w zeszłym miesiącu?

- Nie, wuju.

- Siedem. Jak na jeden miesiąc, to bardzo dużo.

- Tak, dużo.

- Nie chcę pójść w ich ślady i trzeba zacisnąć trochę pasa, żeby związać koniec z końcem.

- Tak, wuju.

- No, to do roboty.

Opuściła biuro wuja Stanton'a i wyruszyła na poszukiwanie wuja Theo. Znalazła go na parkingu.

- Wuju Theo! Właśnie cię szukam.

- Jestem tutaj - odpowiedział wesoły jak zawsze.

- Rozmawiałam właśnie z wujem Stantonem i wiem wszystko.

- Odchodzę pod koniec tygodnia. - Tak mi przykro.

- Nie zwracaj sobie tym swojej pięknej główki. Ja się nie przejmuję. Zawsze znajdzie się jakaś praca - powiedział spokojnie. - Nowe doświadczenia, nowi ludzie.

- Mówisz zupełnie jak Grady. Bez ciebie nie będzie tu już jak dawniej.

- Dam sobie radę, zobaczysz. Nie jestem wcale zaskoczony. Stanton pozostanie zawsze Stantonem i kropka. Wejdźmy lepiej do środka. Zaraz ludzie zaczną walić na lunch.

Clarice po rozmowie z wujem Theo poczuła się trochę lepiej, ale wieczorem pod pochmurnym spojrzeniem Grady'ego, znowu popadła w przygnębienie.

Stał w swoim salonie z rękami na biodrach i z włosami, które nie zdążyły jeszcze wyschnąć po popołudniowej kąpieli. Pod cienką bawełnianą koszulką rysował się jego wspaniały

tors, ale uwagę Clarice przyciągnęło pełne ognia spojrzenie mężczyzny.

- Twój wuj nie dotrzymał obietnicy?! - wycedził przez zaciśnięte zęby Grady.

- Powiedział, że dla restauracji nadchodzą ciężkie czasy i w tej sytuacji nie może sobie pozwolić na podwyżki ani na dalsze zatrudnianie wuja Theo.

- A co na to Theo?

- Przyjął to spokojnie, jak to on. Wuj Theo, to niepoprawny optymista.

- Przykra sprawa.

- My nie pójdziemy z nią do sądu - oznajmiła stanowczo, zakładając nogę na nogę.

- Wciąż nie dajesz ci spokoju mój proces.

- Ja tego po prostu nie rozumiem.

- A ja nie rozumiem, jak wy troje możecie z uśmiechem znosić tyranię wuja Stanton! - warknął Grady. - Zawarł z wami umowę... obiecał pewną gratyfikację, jeśli doprowadzicie do zwiększenia obrotów. Zwiększyliście obroty, a on wycofuje się ze swoich zobowiązań. Pozwolicie mu sobą pomiatać?

- Nie zapominaj, że to jego restauracja i może w niej robić, co zechce.

- Tak, ale umowa jest umową. Moglibyście chociaż zaprotestować i przestać biernie na wszystko się godzić.

- Może jestem bardziej podobna do wuja Theo, niż to sobie uświadamiam.

- Twój wuj Theo da sobie radę.

- Nie ma centa przy duszy. Nigdy nie oszczędza, bo zawsze wszystko, co zarobi oddaje komuś potrzebującemu, albo przeznaczają na jakiś szczytny cel.

- Mimo to da sobie radę. Nie boi się żadnej pracy. Natomiast ty będziesz się męczyła z wujem Stantonem.

- Skąd wiesz? - spytała, chociaż miała na ten temat podobne zdanie.

- To człowiek z klapkami na oczach, żaloszny sknera, który będzie cię wykorzystywał, dopóki mu na to pozwolisz.

- Przesadzasz - powiedziała, czując, że wzbiera w niej złość. - Ma też swoje dobre strony. Jest dobrym biznesmenem, to musisz przyznać.

- Owszem. Z tym się zgodzę. King's Crown to przyzwoita restauracja. Twój wuj zna się na tym, ale założę się, że potraktuje Cuonga lepiej niż ciebie, bo inaczej by go stracił. Założę się, że da mu podwyżkę.

- Nie sądzę. Powiedział, że musi zacisnąć pasa.

Grady usiadł obok Clarice i pochylił się, opierając łokcie na kolanach.

- Założę się z tobą o sobotnią kolację, że Cuong właśnie dostaje podwyżkę.

- Przyjmuję zakład! - rzuciła, porządnie już rozzłoszczona. - Ale cokolwiek robi wuj Stanton, nie zamierzam podawać go do sądu. Jest moim krewnym.

- A więc albo się go boisz, albo...

- Albo co, Grady? - spytała, nie rozumiejąc, co się między nimi dzieje. Poczowała zimne tchnienie obawy, że ich osobowości są zbyt odmienne, by dało się je pogodzić. - Czy dolar jest najważniejszy? Jak taki proces wpływa na rodzinę? Czy nie dzieli jej na obozy?

Grady zaczerwienił się i sprawiał wrażenie poruszonego. Spojrzał na nią z konsternacją. Ma rację z tym rozłamem w rodzinie - pomyślał. Dostrzegając go i starał się przemykać na to oczy.

- Masz rację - przyznał, pocierając dłonią o dłoń. - Mama bardzo to przeżywa. Ciotka i wuj nie odzywają się do mnie, a do mamy odnoszą się z chłodną rezerwą. Ale, do jasnej

cholery, nie oddam Bartowi firmy, którą sam stworzyłem, tylko dlatego, że on tak chce.

Wstał, wcisnął ręce głęboko w kieszenie i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. Nie słyszał, kiedy do niego podeszła, i z zaskoczeniem poczuł, że Clarice obejmuje go od tyłu w pasie i przytula się do niego.

- Grady - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał. - Chodźmy na spacer do parku, popatrzmy na gile i dęby.

Odwrócił się, czując, że opuszcza go napięcie. Przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował.

- Dobry pomysł - wyszeptał, dotykając wargami jej ust.

Szli przez park, podziwiając płaczące wierzby i kwitnące krzewy różane, rozkoszując się panującym tu spokojem, ale Clarice wyczuwała, że Grady nadal jest spięty i wiedziała, że wyrósł między nimi mur, którego dotąd nie było.

Przez następny tydzień Clarice i Grady próbowali unikać drażliwych tematów, ale to wcale nie poprawiało między nimi stosunków.

Wuj Theo oszedł z restauracji, a Kent wrócił do pracy w Hamburger Heaven. Jedna z kelnerek sama złożyła wypowiedzenie, a na jej miejsce nie przyjęto nikogo. Wuj Stanton składał na barki Clarice coraz więcej obowiązków, co złościło Grady'ego, chociaż nie mówił jej tego wprost.

Pewnego dnia wuj Stanton wysłał dziewczynę, by coś mu załatwiła. Jechała South Boulevard w kierunku giełdy produktów rolnych. Czteropasmową drogą szybkiego ruchu pędziły potoki samochodów. Na skrzyżowaniu Clarice miała zielone światło i wjechała na nie z falą pojazdów. Spojrzała od niechcienia na pusty plac na południowo - wschodnim narożniku skrzyżowania i stwierdziła, że nie jest już pusty. Stał tam biały stragan, a przy nim krzątał się niski mężczyzna zajęty przewracaniem tamali. Przed straganem czekał klient. Mężczyzna miał schyloną głowę, twarz zasłaniało mu wielkie

meksykańskie sombrera Obok straganu łopotał na wietrze transparent z napisem „Gorące Tamale O'Toole'a, Mniam! Mniam!”

Clarice, minąwszy placyk, starała się jeszcze rzucić okiem na kramik, zerkając we wsteczne lustro, ale ruch był zbyt duży, by mogła coś zobaczyć. Wiedziała, że to nie Grady sprzedaje tu tamale, bo kiedy odjeżdżała spod restauracji tkwił tam przy swoim straganie. Nic jej nie mówił, że rozkręca interes. Ciekawe, ile wózków rozstawił już w całym mieście.

Załatwiła zakupy, po które wysłał ją wuj Stanton, i ruszyła z powrotem do King's Crown. Kiedy zbliżała się do ruchliwego skrzyżowania, znowu zapaliło się zielone światło, więc chociaż chciała się zatrzymać i dobrze przyjrzeć straganowi, nic z tego nie wyszło. Zdołała tylko zerknąć nieco w lewo i wtedy doznała szoku. Gorące tamale O'Toole'a sprzedawał wuj Theo.

Rozdział 10

O, nie! - jęknęła i ściskając mocno kierownicę, przyspieszyła. Kiedy skręcała w podjazd, Grady'ego otaczał tłumek klientów, którzy wysiedli z kilku zaparkowanych w cieniu drzewa samochodów. Weszła do restauracji, złożyła zakupy i rachunki w kuchni, a potem pomaszerowała podjazdem w kierunku straganu, przy którym uwijał się w pocie czoła Grady. Był bez koszuli, na głowie miał sombrero, a na nogach sandały. Na ten widok złość jej trochę przeszła. Odczekała, aż przy straganie się przerzedzi, i podeszła bliżej.

- Grady.

Odwrócił się i uśmiech rozjaśnił mu oczy.

- O, przyszedłeś na tamala?

- Nie.

- Nie? Coś się stało?

- Jak nakłoniłeś wuja Theo do sprzedawania tamali?

- Zaproponowałem mu pracę i zgodził się. To najlepsze zajęcie pod słońcem. Nie sądzisz, że to jego sprawa? Jest dorosły i sam o sobie decyduje.

- Zgodził się, bo myśli, że w ten sposób ci pomoże. On potrzebuje pracy, która zapewni mu zabezpieczenie na starość. W jego wieku...

- Robi to, bo chce to robić. Sama go zapytaj.

- Sprzedawca tamali! To odrażające.

- Ja też nim jestem - zauważył chłodno Grady.

- W tym nie ma żadnej przyszłości. Wzruszył ramionami.

- Ja nie narzekam. Zacząłem na początku lata, a już mam trzy stragany w różnych punktach miasta.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona.

- Naprawdę.

Patrzyła na niego z mieszanymi uczuciami. Podeszedł do niej i oparł się ręką o pień drzewa, pod którym stała. I nagle istniał dla niej tylko Grady. Wiedziała, co to znaczy dotykać

go, być przytulaną do jego piersi, i znowu zapragnęła znaleźć się w jego ramionach. Przesunęła palcami po muskularnym ramieniu.

- Twoje ciało strasznie mnie rozprasza.

- Dziękuję, nawzajem. Ładnie pachniesz - powiedział, wciągając powietrze w płuca. - Zjedz ze mną tamala. Jadłaś już lunch?

- Nie, chyba nie - odpowiedziała niepewnie. Grady spojrział na jej usta, a Clarice zaparło dech w piersiach i zamknęła oczy. Przysunął się jeszcze bliżej, pochylił i pocałował ją. Zadrżała z pożądania, jednak po chwili otworzyła oczy i odsunęła się od niego.

- Czy to, co jest między nami, to tylko pociąg fizyczny? - spytała.

- Nie sądzę - odparł. Otoczył ramieniem jej talię i znowu pocałował. Zatrąbił samochód i Clarice oderwała się od Grady'ego.

- Chyba muszę wracać do pracy. Zbliża się południe.

- Przestań, Clarice, odpocznij trochę - powiedział z uśmiechem. - I tak pracujesz za troje. Siadaj i pozwól, że poczęstuję cię tamalem.

Uległa. Usiadła na ziemi, podciągając pod siebie nogi. Grady nałożył parujące tamale na dwie tekturowe tacki i wręczył jej jedną wraz z plastikowym widelczykiem. Potem nalał do dwóch jednorazowych kubków zimną lemoniadę i usiadł naprzeciw dziewczyny.

Clarice odgryzła kawałek gorącego tamala i przymknęła oczy, rozkoszując się jego smakiem.

- Pyszne - powiedziała z uznaniem.

- Dziękuję. Nieźle wychodzę na tym straganie. Jest skromny, ale to dopiero początek.

- Nie rozumiem, jak z takiego straganu możesz utrzymywać swój apartament.

- Szczerze mówiąc, nie mogę. Jestem pod kreską, ale interes kwitnie i tylko to się liczy. Spojrzała mu w oczy i wyczytała z nich, że mówi poważnie.

- Aż tak kwitnie, że zdecydowałeś się zrezygnować z kariery inżyniera?

- Lubię wyzwania. Wydaje mi się, że mogę to pociągnąć. Szukam budynku w dobrym punkcie. Takiego, w którym czynsz byłby do przyjęcia. Wiem, że pod kreską będę jeszcze przez jakiś czas.

- Och, Grady, to przecież loteria! - wykrzyknęła. Kochała go, a jednocześnie nienawidziła za jego skorą do ryzyka naturę.

- Wszystko już sobie wykalkulowałem. Ten interes rozkręca się z tygodnia na tydzień. Chciałbym otworzyć małą restauracyjkę i stworzyć sieć straganów w całym mieście. - Uśmiechnął się i położył dłoń na karku Clarice. - Lubię rozmawiać z tobą o moich planach. A jakie są twoje, Clarice? Zamierzasz zostać w tej restauracji?

- Lubię bezpieczną pracę, porządek i rutynę. Nie zdobyłabym się na ryzyko, które ty podejmujesz. - Jej wzrok przesunął się z korony dębu na Grady'ego. - Bardzo się różnimy.

- I dzięki Bogu! - wykrzyknął. - Nie zakochałbym się przecież we własnym sobowtórze. Roześmiała się.

- Może zdołasz zrealizować swoje plany.

- Ale tak naprawdę, nie wierzysz w to, Clarice?

- Nigdy nie lubiłam ryzyka, co nie znaczy, że z góry zakładałam, że ci się nie powiedzie. Uśmiechnął się i Clarice wiedziała, że jest zadowolony, ale poczuła lęk. Grady podejmował ryzykowne przedsięwzięcie, które może nie pozostawić dla niej miejsca w jego życiu.

- Co znaczy ta powaga? - spytał.

Już miała to powiedzieć, ale w porę powstrzymała się z wypowiedzeniem tej uwagi. Nie chciała wymuszać jakichkolwiek zobowiązań. Uśmiechnęła się tylko i zachowała wątpliwości dla siebie.

- Nie rozumiem, jak możesz ryzykować utratę swoich oszczędności, mając do wyboru pracę, która daje większe poczucie bezpieczeństwa. - Wygładziła sukienkę. - Muszę już wracać. Jeszcze wuj Stanton mnie tu zobaczy.

- Tak. Był tu wczoraj z kolejną ofertą wykupienia mnie.

- To nie jest jedyne miejsce w mieście.

- Zastanawiam się, czy nie przyjąć jego propozycji.

- Naprawdę?

- Jest bardzo korzystna.

Była zaskoczona, słysząc, że po całym tym wykładzie o zaciskaniu pasa i ciężkich czasach wuj Stanton zaproponował Grady'emu coś lukratywnego.

- O co chodzi? - spytał Grady, widząc jej minę. - Nie chcesz, żebym przyjął tę ofertę?

- Och, nie! Sam wiesz, co dla ciebie najlepsze. Dziwię się tylko, bo wuj Stanton rozprawia wciąż o tym, że nadchodzą ciężkie czasy i że trzeba się liczyć z każdym groszem.

- Twój wuj zamierza oszczędzać tylko tam, gdzie nie szkodzi to jego interesom. Na swojej restauracji zarabia ciężkie pieniądze i dobrze o tym wiesz.

- To stary problem, Grady - powiedziała, wstając i otrzepując sukienkę z trawy.

- Aha, jesteś mi winna kolację - powiedział Grady, również wstając. - W zeszłym tygodniu Cuong dostał podwyżkę.

- Niemożliwe! - doznała lekkiego szoku przyprawionego gniewem.

- Możliwe, możliwe. Rozmawiam z nim od czasu do czasu. Cuongowi bardzo zasmakowały moje tamale. Kupuje je ode mnie, kiedy wychodzi z pracy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - To jeden z najlepszych kucharzy w mieście. W restauracji może jeść, co zechce.

- Wuj nie każe wam płacić za to, co tam zjecie?

- Owszem, gdyby tego nie robił, personel przejadłby mu całe zyski.

- No tak - powiedział Grady z nutką cynizmu.

- Nie podoba ci się nic, co robi wuj Stanton!

- Nie podoba mi się, że wykorzystuje swoją rodzinę i pracowników. Mógłby dać wam rabat.

- Grady, nie należysz do tych, którzy powinni zabierać głos na temat stosunków w rodzinie! - wytknęła mu Clarice. - Lepiej już sobie pójdę.

Odprowadził ją wzrokiem. Przy każdym kroku sukienka dziewczyny napinała się na biodrach prowokacyjnie, a rozpuszczone czarne włosy kołysały się między łopatkami. Chciał, żeby wróciła, chciał słuchać jej śmiechu, pragnął ją tulić do siebie. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego słowa musiały ją zranić. Sam też czuł się trochę urażony.

- Na ten weekend przyjeżdżają z Tulsy moi starszycy i chciałabym cię im przedstawić - powiedziała Clarice, kiedy wieczorem usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku we włoskiej restauracji. - Planuję wydać rodzinną kolację w piątek wieczorem.

- O rany! - Odłożył widelec na talerzyk. - Zupełnie zapomniałem. Mama chce cię poznać i zamierzała zaprosić nas oboje na ten weekend. Pozwól, że rozszerzę to zaproszenie na twoją rodzinę.

- Za dużo nas jest. Może raczej ty przyprowadzisz swoją matkę? Zadzwoń do niej i zaproszę ją.

- Nie, miejsca starczy dla wszystkich. Czy wuj Stanton też jest zaproszony?

- Nie zostawi restauracji. Już z nim o tym rozmawiałam.

- Ja porozmawiam z Theo i Kentem - zaoferował się Grady i spojrzał na nią dziwnie. - Mogę ci już powiedzieć - dorzucił po chwili - Kent też pracuje u mnie.

- No nie! Grady, czy zamierzasz zatrudnić wszystkich członków mojej rodziny do prowadzenia swoich straganów z tamalami?

- No cóż, skoro szukają pracy, nie widzę powodu, dla którego miałbym nie wyjść im naprzeciw. Patrzyła na niego skonsternowana.

- Kiedy Kent pracuje? Chyba nie opuszcza szkoły?

- Nic z tych rzeczy. Po szkole oraz w soboty i niedziele. Odprężyła się i roześmiała.

- Poddaję się! Tylko patrzeć, jak i mnie zaproponujesz sprzedawanie tamali. Uśmiechnął się i oczy mu się roziskrzyły.

- W każdej chwili. Sama podsunęłaś mi tę myśl. Już ja wykombinuję dla ciebie odpowiedni etat - powiedział, a jego libido kręciło piruety. - Dajmy na to, wabik na klientów. Gdybyś ubrała się w bikini...

- Nie wygłupiaj się! - prychnęła i roześmiała się.

- Jak to przyjemnie, kiedy się w czymś zgadzamy. A jeszcze przyjemniej, kiedy humor ci dopisuje. - Wyciągnął rękę nad stolikiem i dotknął jej policzka. - Chodźmy do mnie.

Skinęła głową i wstała.

Na rodzinną kolację Clarice włożyła nową, ciemnoniebieską sukienkę, włosy zwinęła w kok, a w uszy wpięła małe, złote kolczyki, które dzwoniły cichutko przy każdym ruchu. Chociaż tłumaczyła sobie, że to śmieszne, miała treść przed przedstawieniem ukochanego rodzicom.

Trema zniknęła jednak bez śladu, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła Grady'ego w progu.

Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę, ciemny krawat i był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

- Cześć - wyszeptał. - Są twoi starszycy?

- Nie. Czekają u wuja Theo. Powiedziałam, że po nich przyjedziemy. Ja wezmę swój samochód, a ty swój.

- Zmieścimy się wszyscy do mojego - powiedział, podchodząc bliżej. - Wspaniale wyglądasz. Wolałbym zostać tutaj.

W duchu przyznała mu rację, ale czekało przecież na nich pięć osób.

- Grady, powinniśmy już tam być.

- Mmm, Clarice. - Pochylił się, żeby pocałować ją w szyję, za uchem, w policzek i musiała odwrócić głowę, by poszukać ustami jego ust.

Ręce Grady'ego zsunęły się na biodra Clarice, przyciągnął ją do siebie, a ona przez chwilę skłonna była ulec jego pieszczotom. Zreflektowała się jednak.

- Grady, przestań.

- Dlaczego? - wyszeptał, wsuwając dłoń za dekolt jej sukienki. Zamknęła oczy, usiłując zachować rozsądek.

- Grady, musimy już iść.

- Za chwileczkę - wymruczał i ta chwileczka rozciągnęła się w kwadrans.

- Och! Nie, Grady - zaprotestowała w końcu Clarice. - Teraz już na pewno nie zdążymy. Uśmiechnął się i przesunął palcem po jej szyi.

- Warto było. Wiesz, na co mam ochotę?

- Nie chcę wiedzieć. Nie czas na to. Śmiejąc się, przyciągnął ją do siebie.

- A skąd wiesz, co mam na myśli?

Wyrwała mu się z objęć i wygładziła na sobie sukienkę. Zerknęła w lustro i zauważyła, że ma zaróżowione policzki. Grady stanął za dziewczyną i przytulił ją do siebie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - wyszeptał, pochylając się, by pocałować ją w kark - co mi zrobiłaś tamtego dnia, kiedy ziemia obsunęła się do korytarza i upadłem na ciebie.

- Nie muszę sobie wyobrażać - odparła bez tchu. - Ja to wiem. Byłam tam, pamiętasz? Przytulił ją do siebie z całych sił, jakby chciał ją tak tulić wiecznie, ale gdzieś w głębi duszy czaiło się

złe przeczucie, którego nie potrafił zwalczyć.

Zajechali pod dom matki Grady'ego. Był to dwupiętrowy budynek z cegły w starszej części miasta. Grady pomógł Clarice wysiąść z samochodu.

- Och! Jak tu ładnie - westchnęła, rozglądając się po małym podwórku ocienionym dębami. - Nasz dom był skromniejszy. Mama i tata są bardzo praktycznymi ludźmi. Żadnych fanaberii.

- Pewna skłonność do fanaberii jednak drzemie w twojej rodzinie. Theo ma jej aż za wiele. Roześmiała się.

- Wiem, ale ostrzegam cię, moi rodzice nie odznaczają się zbytnim poczuciem humoru.

- W przeciwieństwie do ciebie i Kenta.

- O tak, Kent jest bardziej podobny do wuja Theo niż do taty. Mam nadzieję, że spodobam się twojej matce.

- Pokocha cię. Jest taka zażenowana moim tamalowym interesem, że prawie się do mnie nie przyznaje.

- Naprawdę?

- Dziwi cię to?

- Tak. Wyobrażałam sobie, że z charakteru jest podobna do ciebie.

- O nie. Sama zobaczysz. Ja wrodziłem się w ojca.

W tym momencie drzwi się uchyliły. Stała w nich niska, pulchna kobieta o ciemnych włosach i ciemnych oczach. Jej podobieństwo do syna ujawniło się dopiero wtedy, kiedy się uśmiechnęła ciepło i przyjaźnie. Clarice od razu poczuła wielką ulgę.

- Wejdźcie - powiedziała pani O'Toole.

- Mamo, to jest Clarice Jenkins. Clarice, to moja matka, Harriet.

- Miło mi panią poznać, pani O'Toole.

Pani O'Toole roześmiała się i uściśnęła dłoń Clarice.

- Mów mi Harriet. Grady opowiadał mi o tobie. Nie przesadzał, jeśli chodzi o twoją urodę. Grady, pokaż Clarice dom, a ja skończę się przygotowywać.

- Dobrze, mamo - powiedział Grady i otoczył Clarice ramieniem.

Kent zabrał się z nimi, a Theo z rodzicami Clarice. W restauracji Grady poprosił o miejsce w alkowie. Posadzono ich przy okrągłym stole przykrytym białym, lnianym obrusem, na którym stały mosiężne lichterze z czerwonymi świecami. W tle rozbrzmiewały dyskretne tony fortepianu.

Grady uściśnął pod stołem dłoń Clarice, a ona przesunęła wzrokiem po obecnych. Szopa kasztanowych włosów i rumiane policzki Theo kontrastowały silnie z jego statecznym, czarnym jak smoła garniturem. Siedział między Kentem a Harriet O'Toole i zabawiał tę ostatnią rozmową. Kent był uczesany inaczej niż dotychczas, z przedziałkiem po środku, i ubrany, jak nigdy, w białą koszulę oraz ciemne spodnie.

Wzrok Clarice przesunął się dalej, spoczął na ojcu, który delektował się kieliszkiem wina. Okulary bez oprawki zsunęły mu się na czubek nosa. Jego pociągła, ascetyczna twarz nie przypominała w niczym puciołowatej fizjonomii Theo. Podobne mieli tylko oczy. Zauważyła, że ojciec włożył swój dziewięcioletni brązowy garnitur, a spojrzawszy na matkę

stwierdziła, że jej sukienka ma mniej więcej tyle samo lat, co garnitur ojca. Westchnęła na myśl, jak dobraną stanowią parę. Przypominali jej dwie połówki jednego liścia. Już wiedziała, skąd u niej ta staroświeckość.

- Czym się pan zajmuje zawodowo? - zwrócił się ojciec Clarice do Grady'ego, kiedy na stół wjechały warzywne sałatki na chłodnych, kryształowych talerzykach.

Clarice nie była pewna, czy tak jej się tylko wydaje, czy muzyka naprawdę przycichła, a uwaga wszystkich skupia się na Grady'm.

- Jest inżynierem - odpowiedziała za syna Harriet O'Toole, uśmiechając się szeroko.

- Naprawdę? W jakiej firmie pan pracuje?

Clarice przygotowała się na to, co miało teraz nastąpić, i czekała na odpowiedź Grady'ego.

- No, w tej chwili...

- Prowadzi własną firmę, O'Toole Drilling, Incorporated - odpowiedziała za niego matka, a Grady uśmiechnął się do niej.

- Nie to...

Grady urwał, bo w tym momencie pojawił się kelner z tacą, zmiotł błyskawicznie ze stołu talerzyki z sałatkami i postawił przed każdym z biesiadników zamówione danie. Clarice spuściła wzrok na parującą złocistą pierś kurczęcia w wianuszku ryżu posypanego pociętą drobno fasolką szparagową, ale myślami pozostała gdzie indziej. Zastanawiała się, kiedy w rozmowie wypłynie znowu kwestia zajęcia Grady'ego. Nie musiała długo czekać.

- No i jak ci się pracuje w King's Crown, Theo? - zwrócił się ojciec do wuja.

- O, już tam nie pracuję. Stanton mnie zwolnił.

- Nie wiedziałem. - Ojciec zmarszczył czoło. - To co teraz robisz? Clarice zamknęła oczy.

- Sprzedaję gorące tamale - odparł beztrosko Theo.
- O Boże! Też mi coś. Nie lepiej było wrócić do tej kwiaciarni?

- Nie. Mnie to odpowiada. Jestem przez cały czas na powietrzu i poznaję ciekawych ludzi.

- Gorące tamale!

- Ja też nimi handluję, tato - wtrącił się Kent.

- Na miłość boską, Kent! I ty?!

- W tym miejscu powinienem chyba wyjaśnić, że nie pracuję już jako inżynier - odezwał się Grady. - Zajmuję się teraz handlem i rozmawia pan z moimi dwoma pracownikami.

Teraz oczy zamknęła matka Grady'ego. Grady uśmiechnął się do rodziców Clarice, którzy gapili się na niego oniemiałi. Ojciec ściągnął brwi.

- Przerzucił się pan z wierceń na tamale?

- Tak, proszę pana. I jestem bardzo zadowolony.

- Czy to nie pan jest tym facetem, którego Stanton... - ojciec nie dokończył, ale Clarice potrafiła sobie wyobrazić, jak miało brzmieć to zdanie. Prawdopodobnie w rozmowach z ojcem wuj Stanton pomstował nieraz na Grady'ego i jego stragan.

- To sytuacja przejściowa - odezwała się pogodnie pani O'Toole.

- Nie, mamó, tak już może zostać - powiedział Grady z takim czarem, że Clarice miała ochotę pogrozić mu pięścią.

- Co ty wygadujesz? - zachnęła się pani O'Toole, a dziewczyna straciła już wszelką nadzieję, że rozmowa zejdzie na bezpieczniejsze tory.

- Być może pociągnę to dalej, niezależnie od tego, jak zakończy się cała ta awantura z firmą wiertniczą.

- Ależ, Grady! - W okrzyku pani O'Toole było tyle rozpaczy, że nie ulegało wątpliwości, co czuje.

- To naprawdę bardzo wdzięczne zajęcie, pani O'Toole - odezwał się wuj Theo. - Poznałem już bardzo ciekawych ludzi. Czy spotkała pani kiedyś kogoś, kto wywarł na pani niezatarte wrażenie?

- No, owszem.

- Kogo? - spytał z uśmiechem wuj Theo.

Zacząła bąkać coś o kimś, kogo poznała w parku Yellowstone, a wuj Theo słuchał jej z uwagą.

- Oglądałeś w niedzielę mecz Kowbojów, tato? - spytał ojca Kent.

- Tak, ten ostatni touchdown był problematyczny - stwierdził ojciec i mężczyźni skierowali dyskusję na piłkę nożną. Ale Clarice rejestrowała ukradkowe spojrzenia, jakimi jej rodzice obrzucali podczas posiłku Grady'ego.

Po rozwiezieniu wszystkich do domów, Grady zaprosił Clarice do siebie.

- Podobają mi się twoi staruszkowie - powiedział cicho, przekręcając klucz w zamku i popychając drzwi. W salonie paliła się nocna lampka, a do korytarza przesączało się stamtąd przytłumione światło. Grady rozluźnił krawat, uśmiechnął się do Clarice, a potem zamknął drzwi.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała. - A mnie podoba się twoja matka. Jest przemiła.

- Wydaje mi się, że przypadli sobie z Theo do gustu. Ale Theo przypada do gustu każdy. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził do kuchni. - Chodź, przygotuję coś zimnego do picia. Nasłuchasz się chyba od rodziców o związku ze sprzedawcą tamali.

- Być może. Ale dawno już dali mi wolną rękę w układaniu sobie życia.

- Mama jest tobą oczarowana. Jesteś w jej typie.

- Grady, zaczynam się czuć, jak tysiącletnia staruszka, kanciasta, jak twój stragan z tamalami.

- Ja tego nie powiedziałem. - Wyjął z lodówki piwo i butelkę coli, zamknął nogą drzwiczki, odwrócił się, żeby poszukać w szufladzie otwieracza. Clarice podeszła od tyłu, położyła mu ręce na udach i przytuliła się do niego, a potem wspięła na palce i pocałowała w kark.

- Kanciasta, co?

- Obawiam się, że tak. Jak mój stragan z tamalami - wymruczał czule, odwrócił lekko głowę, a ona pocałowała go w ucho.

- Staroświecka? - wyszeptała, muskając językiem ucho Grady'ego i gładząc dłońmi jego biodra.

- Tak samo staroświecka, jak wstążki we włosach i słomkowe kapelusze - mruknął, oddychając teraz szybciej. Otarła się o niego biodrem. Westchnął spazmatycznie, odwrócił się i wziął ją w ramiona.

- Jak dobrze - wyszeptał, patrząc na nią zachłannie. Jego dłonie zsunęły się na pośladki dziewczyny. Schylił głowę, szukając jej ust. Zadrżała z pożądania i odrzuciła wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia.

Ale kiedy kochali się, Clarice miały emocje graniczące z desperacją. Nie chciała utracić Grady'ego.

Rozdział 11

Dwa dni później wuj Stanton wezwał Clarice do swojego biura. Wtedy wyłoniły się problemy innego rodzaju. - Eileen odchodzi - powiedział. - Przejmiesz jej sekcję stolików.

- Dobrze, wuju. Kiedy wypadają mi dyżury?

- Wszystko jest rozpisane w grafiku wywieszonym w kuchni. - Zdjął marynarkę szarą jak skóra rekina i podwinął rękawy białej koszuli. - Pozbywamy się wreszcie tej budy z tamalami.

- Naprawdę?

- Tak. Byłem zmuszony wykupić tego człowieka, ale teren jest teraz mój i nie stanie już na nim żadna odrapana garkuchnia. Słyszałem, że się z nim spotykasz?

- Tak - przyznała, przetrawiając nowinę, którą przed chwilą usłyszała. Grady związał interes. Nie będzie już straganu z tamalami kilka kroków od wejścia.

- Tracisz czas z gościem o mentalności Cygana. On i Theo są ulepieni z tej samej gliny.

- Może są do siebie trochę podobni, ale nie we wszystkim. On procesuje się ze swoim kuzynem o firmę, której są współwłaścicielami.

- Nie opowiadaj. Co to za firma?

- Przedsiębiorstwo wiertnicze. Grady O'Toole jest inżynierem. Wuj Stanton podniósł oczy znad papierów walających się po biurku.

- Inżynier i pichci tamale? To jakiś dziwak. Istny dziwak. Posłuchaj mojej rady, Clarice i trzymaj się od niego z daleka.

- Wydaje mi się, że mamie i tacie się spodobał.

- No wiesz, ja patrzę na niego z bardziej praktycznego punktu widzenia. Może to i przystojny mężczyzna, ale trzymaj się od niego z daleka. Najważniejsze w życiu jest bezpieczeństwo.

- Wiem, wuju.

- Zamknij za sobą drzwi, jak będziesz wychodziła.

- Dobrze, wuju - powiedziała i wyszła. Przystudiowała wywieszony w kuchni grafik dyżurów, stwierdziła z konsternacją, że jej tydzień pracy wydłużył się o kilka godzin.

Zdenerwowana, nie pukając, wmaszerowała zdecydowanym krokiem z powrotem do biura wuja Stanton. Ten zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

- Właśnie obejrzałam grafik - powiedziała. - Czy zapłacisz mi za nadgodziny?

- Oczywiście, że nie. Jesteś kierowniczką i pobierasz stałą pensję.

- Ale mam pracować osiem godzin więcej tygodniowo. Czy wiesz, ile godzin na tydzień wypada mi teraz w sumie?

- Chcesz do czegoś dojść czy nic? Posłuchaj, młoda damo. Kiedy zaczynałem, pracowałem po osiemdziesiąt godzin na tydzień.

- Pracowałeś na swoim. A więc nie dostanę podwyżki?

- Z czasem, jeśli się sprawdzisz. Pracujesz tu niecałe dwa miesiące. Nie, teraz nic ci nie dołożę. Poza tym, nie mogę faworyzować krewnych.

- Cuongowi podwyższyłeś niedawno stawkę.

- Cuong jest szefem kuchni. To filar restauracji i jeden z najlepszych kucharzy w mieście. No i pracuje u mnie dwa lata. Nie dostał podwyżki po dwóch miesiącach.

Wuj Stanton pochylił głowę nad papierami i Clarice wiedziała, że to koniec rozmowy. Wróciła do pracy, ale, korzystając z popołudniowej przerwy, wsiadła w samochód i podjechała do najbliższej budki telefonicznej.

Wykręciła numer gabinetu doktora McClellana i poprosiła go do aparatu. Po dziesięciu minutach była już z powrotem w King's Crown, by złożyć wymówienie.

- Wracam do poprzedniej pracy w gabinecie stomatologicznym - oświadczyła. Wuj Stanton popatrzył na nią beznamiętnie.

- Jeśli taka twoja wola - powiedział chłodno. Nagle w Clarice obudziło się podejrzenie, że od początku chciał się jej pozbyć.

- Popracuję tu jeszcze dwa tygodnie, żeby dać ci czas na znalezienie kogoś na moje miejsce.

- Nie musisz, Clarice. Margo przejmie twoje obowiązki.

- Zapłacisz jej jeszcze mniej niż mnie - zauważyła, uświadamiając sobie, że wuj tak czy inaczej wyjdzie na swoje.

- Ona nie ma takiego doświadczenia, a poza tym nie należy do rodziny. Tłumiąc złość, Clarice próbowała ustalić strategię działania wuja.

- Jak długo mam jeszcze zostać?

- Jak ci wygodniej.

- A więc popracuję do końca tygodnia.

- Świetnie, Clarice. Jeśli będziesz chciała wrócić, daj mi tylko znać. Przykro mi, że odchodzisz - dorzucił. Clarice zorientowała się, że Stanton czeka tylko na to, aż opuści jego biuro, żeby zagłębić się znowu w swoich księgach.

- Tak, wuju. - Była zła i sfrustrowana.

Wieczorem, kiedy siedzieli z Grady przy stole i jedli kolację, nastrój pogorszył się jej jeszcze bardziej.

- Po prostu złożyłaś wypowiedzenie? Nie próbowałaś protestować? - dopytywał się Grady.

- Nie, to i tak by nic nie dało - odparła, poprawiając się na krześle.

- Pozwoliłaś mu wejść sobie na głowę. Ten sam błąd popełnili Theo i Kent.

- Podczas gdy ty ścigasz swoich krewnych z siekierą. Zaczerwienił się i patrzyli sobie przez chwilę w oczy.

- Zejdźmy na bezpieczniejszy temat - powiedział, przerywając milczenie.

- Zgoda. O czym możemy bezpiecznie rozmawiać?

- Kiedy zaczynasz pracę u tego dentysty?

- W poniedziałek rano.

- Będiesz tam zarabiała tyle samo, co w restauracji?

- Nie. Tyle nie wyciągnę. Nie wydaje mi się, żeby to był bezpieczny temat, Grady. Może już nie mamy bezpiecznych tematów.

Oczy mu pociemniały, jakby poczuł się dotknięty jej uwagą.

- Słyszałaś o tym mężczyźnie, który co środę zatrzymuje się przy straganie Theo, żeby z nim pogawędzić? - spytał po chwili.

- Chyba nie. Dawno nie widziałam się z wujem Theo. Grady uśmiechnął się.

- Ten człowiek brał kiedyś udział w ekspedycji szukającej dowodów na istnienie potwora z Loch Ness. Nawiasem mówiąc, bezskutecznie. Theo jest nim zachwycony.

- Uważaj, bo możesz stracić pracownika - zauważyła ze śmiechem. - Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego wuj Theo nigdy nie podróżuje, ale z czasem zrozumiałam, że jego fascynują ludzie, nie miejsca. Dokąd się przenieś, Grady? Wuj Stanton powiedział mi, że sprzedałeś mu swoją parcelę.

- Wydzierżawiłem inny plac - odparł zdawkowo i zmienił temat.

- Chciałbym ci coś pokazać - powiedział, kiedy znaleźli się w jego samochodzie.

- Umieram z ciekawości - skłamała, nienawidząc muru, który znowu między nimi wyrastał. - Czytałam w gazecie o waszym procesie.

- A, tak. Miałem nadzieję, że to nie trafi na łamy prasy. Próbujemy zawrzeć ugode. A tak nawiasem mówiąc, mama prosi, żebyśmy znowu do niej wpadli.

- W każdej chwili.

Grady skręcił na pusty parking przed szeregiem ciągnących się wzdłuż ruchliwej arterii pawilonów handlowych z czerwonej cegły. Zatrzymał wóz i pomógł Clarice wysiąść. Zaintrygowana, ruszyła za nim przez chodnik. Zatrzymał się przed witryną pustego pawilonu i wygrzebał z kieszeni džinsów klucz. Otworzył drzwi i dopiero teraz spojrzał na nią.

- Wejdz do przyszłego lokalu O'Toole'a. - Skłonił się z gracją.

- To będzie twoja restauracja? - Tak.

Weszła do długiego, pustego pomieszczenia. Na ścianie naprzeciwko drzwi płonęła niebiesko - białym blaskiem pojedyncza świetlówka. Clarice rozejrzała się oszołomiona.

- Wspaniale!

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. To dlatego nic mi nie powiedziałaś o tym, że sprzedałaś wujowi Stantonowi swoją parcelę.

- Zgadza się. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Tak, ale gdzie tu jest kuchnia?

- Przebuduję wewnątrz. Jutro przychodzi ekipa. Pomożesz mi przy dekoracji?

- Naturalnie. Nie spodziewałam się, że to będzie tak wyglądało. Tu jest wspaniale. Uśmiechnął się. Widać było, że jest zadowolony. Wziął ją za rękę.

- Chodź - powiedział tonem, z którego zaczęło przebijać podniecenie. - Tutaj stawiam niską ściankę działową. Za nią będzie kuchnia. Tu stanie lada do wydawania dań i kasa. Chcę to urządzić tak, żeby klienci widzieli, jak robimy tamale. Powinno zostać miejsce na jakieś dziewięć stolików.

Dziewczyna rozglądała się po prostokątnym wnętrzu.

- Gdyby środek salki przeznaczyć na jakieś siedem stolików, a pod tą ścianą ustawić łóżka, to byłoby więcej miejsc.

- Rzeczywiście! Masz rację. - Uścisnął ją. - Wiedziałem, że warto cię tu przywieźć. Spojrzała na niego z uśmiechem. Pocałował ją lekko, a potem całą uwagę znowu skierował na swoją restaurację.

- Co lepiej brzmi: „Tamale O'Toole'a” czy „Cafe O'Toole'a”?

- Wolę jednak „Tamale O'Toole'a”. Skąd wzięłaś tyle pieniędzy? Mówiłaś przecież, że jesteś pod kreską.

- Zainwestowałem w to wszystkie moje oszczędności - powiedział poważnie.

- Och, Grady! To wielkie ryzyko!

- Sądzę, że wyjdę na swoje.

- A jeśli nie? Grady, ciarki mnie przechodzą na myśl, czym ryzykujesz! Czas, pieniądze, oszczędności wielu lat. I to wszystko dla tamali?

- Dobrze się sprzedają. Utrafiłem w gusta klientów. Nie zamierzam sterczeć przez resztę życia na rogu ulicy. Co do tego jesteśmy chyba zgodni? Widzę w tym szansę, tak jak ją widziałem, zakładając firmę wiertniczą.

- Ale to zupełnie co innego!

- Chyba znowu zbaczamy na niebezpieczny temat - powiedział, pochmurniejac. - Chodźmy stąd. Prowadził samochód w milczeniu i Clarice czuła, że znowu otwiera się między nimi przepaść. Kiedy stanęli przed drzwiami jej mieszkania, chwyciła go za rękę.

- Co się z nami dzieje, Grady?

- Ty nazwałabyś to chyba niezgodnością temperamentów - powiedział chłodno. Bardzo ją to zabolalo. Niespodziewanie wziął ją w ramiona i pocałował z pasją. - Zadzwoń -

powiedział, po czym zbiegł po schodach. Miała przeczucie, że to ich ostatnie pożegnanie.

Z upływem dni Clarice przekonywała się, że przeczucie jej nie myliło. Grady nie zadzwonił, wszystko wskazywało na to, że w ich stosunkach nastąpił impas. Wróciła do poprzedniej pracy. Starła się zapomnieć o Grady. Z upływem czasu przekonywała się jednak, że nie jest to wcale takie proste. Czowała się nieswojo. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdzała, że odbieranie telefonów, wystukiwanie na maszynie rachunków za zabiegi stomatologiczne i prowadzenie rejestracji pacjentów wcale jej nie uszczęśliwia. Czowała się tym znużona. Tęskniła za pracą w King's Crown i coraz częściej przyłapywała się na wspomnieniach, albo wybieganiu myślą w przyszłość, która wcale nie rysowała się różowo.

W końcu postanowiła przeanalizować dogłębnie swój pogląd na życie. Stopniowo, krok po kroku, zaczęła się zmieniać. Pewnego dnia, pod koniec sierpnia, podjęła heroiczną decyzję. Zamknąwszy gabinet pojechała do King's Crown. Skręcając na podjazd, zauważyła, że na rogu nie ma już straganu z tamalami. Doznała przypiływu nostalgii za wesołymi oczami Grady'ego, za jego wspaniałym torsem. Zacisnęła zęby, wygładziła dłonią brązową spódnice i wmaszerowała zdecydowanym krokiem do restauracji.

Wuj Stanton, ubrany w swój nieodłączny garnitur w barwie rekiniej skóry, rozmawiał w kuchni z Cuongiem. Przywitali się obaj z Clarice, a Cuongowi ciemne oczy aż zabłyśły z zadowolenia. Po krótkiej pogawędce na luźne tematy, Clarice zebrała się na odwagę.

- Wuju Stantonie, czy mogłabym z tobą porozmawiać w cztery oczy?

- Oczywiście. Zaraz wracam, Cuong. Ustalimy menu na niedzielę. - Ruszył przodem do swojego gabinetu, gdzie usiadł

za biurkiem i utkwiał wzrok w dziewczynie. - Weź sobie krzesło, Clarice.

- Dziękuję.

- Jak ci leci u tego dentysty?

- Trochę nudno w porównaniu z pracą tutaj.

- Tak? To może chcesz wrócić?

- Nie, ale chcę ci powiedzieć, że według mnie nie postąpiłaś fair z wujem Theo, Kentem i mną. Obiecałaś nam coś i nie dotrzymałaś słowa. To nieładnie z twojej strony, bez względu na to, czy jesteśmy rodziną, czy nie. Umowa to umowa.

Przez chwilę patrzył na nią zaskoczony, a potem zmarszczył czoło.

- Widzisz, Clarice, muszę dbać, żeby interes się kręcił i nie mogę sobie pozwolić na ekstrawagancje... Pochyliła się w przód i grzmotnęła torebką o blat biurka.

- Ekstrawagancje, mówisz!? Postąpiłaś w stosunku do nas nieuczciwie. Słyszałaś kiedyś o Ebenezerze Scrooge'u?

- Nie porównuj mnie ze Scrooge'em, moja panno!

- Oszukałaś nas, wuju Stantonie! Zamrugał powiekami, wybałuszył na nią oczy.

- Posłuchaj, no...

- Nie, to ty posłuchaj! - Wstała i pochyliła się nad biurkiem. - To było świństwo. Kent i ja jakoś sobie poradziliśmy, ale potraktować tak własnego brata! Czeka cię starość w samotności, chyba że towarzystwa dotrzyma ci twój personel. - Odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Clarice! Clarice!

Zatrzymała się w korytarzu. Wuj Stanton dogonił ją i oparł się o ścianę. Był blady.

- Wracaj i usiądź, proszę.

Weszła z powrotem do biura i zamknęła za sobą drzwi. Wuj Stanton usiadł. Wpatrywał się w jakiś punkt za jej plecami.

- Może nie potraktowałem cię właściwie...

- Tu nie chodzi tylko o mnie.

- Wiem, wiem. - Zacisnął usta, a Clarice odniosła wrażenie, że wuj toczy ze sobą jakąś wewnętrzną walkę. - Prawdę mówiąc, to od kiedy odeszłaś, nastąpił zastój w interesie - mruknął wreszcie. - Chcesz wrócić do pracy?

- Tak, jeśli zapewnisz mi czterdziestogodzinny tydzień pracy, będziesz wypłacał pięć procent z zysków i dasz podwyżkę, którą obiecałeś.

Wlepił w nią ciemne oczy.

- Zadzwoń do ciebie jutro - burknął w końcu.

- Przyjmiesz z powrotem wuja Theo, jeśli ten wyrazi na to ochotę.

- Co to, to nie...

- Co to, to tak, albo możesz nie dzwonić - powiedziała stanowczo, po czym wyszła z biura.

W sobotę rano, kiedy miasto spowijała mgła, było dżdżyście i chłodno, zadzwonił telefon. Odebrała go, przekonana, że to wuj Stanton, ale usłyszała w słuchawce głos wuja Theo.

- Obudziłem cię, Clarice?

- Nie, już nie spałam.

- Przeziębilem się.

- Przykro mi. Mogę w czymś pomóc?

- Jeśli mam być szczery, to możesz. Dlatego właśnie dzwonię.

- Może przywieźć ci sok pomarańczowy i zrobić śniadanie?

- Nie, dziecko. Czy mogłabyś mnie dzisiaj zastąpić przy moich tamalach? Kent zabiera towar z lokalu i jest z nim u mnie o wpół do jedenastej. Pokaże ci, co i jak.

Clarice ze zdumieniem wpatrywała się w telefon.

- Wuju Theo, ja się zupełnie na tym nie znam...

- Tylko dzisiaj. - Zakaszał, a kiedy się znowu odezwał, głos miał słabszy. - Tylko dzisiaj. Dzisiaj mam otwarte od dziesiątej do dziewiętnastej. Jutro krócej, tylko od wpół do jedenastej do osiemnastej trzydzieści, ale o jutro będę się martwił później.

- No dobrze, wuju Theo - westchnęła. - Ale nie licz na rekordowy utarg.

- Jesteś aniołem.

- Wuju Theo, co słyhać u Grady'ego?

- U Grady'ego? Wszystko w porządku. Cześć, Clarice. - W słuchawce trzasnęło. Nie dowiedziała się wiele o Gradym.

Oczyrna wyobraźnia widziała go na randce z jakąś seksowną, piękną kobietą, która potrafi go kochać, nie zważając na jego niepraktyczną, ryzykancką naturę.

Clarice westchnęła, odrzuciła kołdrę, ubrała się w dżinsy i sweter i wyszła sprzedawać gorące tamale O'Toole'a.

Do dwunastej przejaśniło się: niebo zrobiło się czyste i intensywnie błękitne, powietrze rześkie, liście cudownie mieniły się wszystkimi odcieniami żółci i purpury. Tak przynajmniej wydawało się Clarice, kiedy sprzedawała kolejną porcję sześciu tamali. Rozumiała już Grady'ego i była gotowa zaryzykować dla niego swoją przyszłość, byle tylko mieć go u swego boku.

Tej nocy Clarice prawie nie zmrużyła oka. Wstała wcześniej z przekonaniem, że pogoda spiskuje przeciwko niej. Był przepiękny wrześniowy dzień, ciepły i pogodny.

- Grady, kocham cię - wyszeptła do swego odbicia w łazienkowym lustrze, kiedy ubierała się, żeby wyjść do pracy.

Otworzyła stragan, a Kent dostarczył transport gotowych tamali i rozwinął transparent z napisem „Gorące Tamale O'Toole'a. Mniam! Mniam!” .

Pierwszego tamala sprzedała o dwunastej trzydzieści, a potem zaczął walić tłum klientów. Kiedy obsługiwała dwóch nastolatków w džinsach i bawełnianych koszulkach, dostrzegła nadjeżdżającego ulicą czarnego lincolna. Serce podskoczyło jej do gardła. To był Grady.

Rozdział 12

Grady. Clarice przyjęła od wyrostków należność, wydała im resztę i usłyszała pisk opon. Zawyły klaksony, ktoś w ostatniej chwili ominął Grady'ego, inny wóz zahamował kilka centymetrów od tylnego zderzaka jego samochodu. Pomachała z uśmiechem ręką. Pojazdy na jezdni zwalniały i trąbiły zawzięcie, a serce Clarice waliło jak młotem.

- Poproszę dwa tamale.

Spuściła wzrok, ujrzała piegowatą buzię, wielkie brązowe oczy oraz brudną rączkę ściskającą garść monet.

- Służę panu. Dwa tamale, już się robi - powiedziała, nie zwracając uwagi na ryczące klaksony i pisk opon. - Położyła dwa tamale na tekturowej tacy i owinęła je aluminiową folią, żeby dłużej trzymały ciepło.

- Proszę bardzo - wręczyła zawiniątko malcowi. - Wpadnij tu jeszcze.

- Dobrze, pszepani! - Zmarszczył nos. - Lubię tamale.

- Cieszę się. - Nachyliła się nad nim.

- Ładnie pani pachnie.

- Dziękuję. Jak masz na imię?

- Chuck. A pani?

- Clarice - odpowiedział za nią głęboki męski głos i kiedy podniosła wzrok, ujrzała przed sobą Grady'ego. Serce przestało jej bić. Wyprostowała się i spojrzała znowu na malca.

- To prawda, mam na imię Clarice - powiedziała.

Chuck uśmiechnął się, pomachał jej ręką i pobiegł do czekającego samochodu, a ona odwróciła się do Grady'ego.

Był ubrany w beżową koszulę i dżinsy, schudł trochę, ale wyglądał wspaniale. Tak wspaniale, że zapragnęła rzucić mu się na szyję i przytulić mocno.

- Cześć - powiedział cicho i jego wzrok przesunął się po jej skąpym stroju. - Co ty, u licha, tu robisz?

- Grady, tak mi cię brakowało!

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy. Oczy mu pociemniały, jak zawsze, kiedy ogarniała go namiętność. - O Boże, Clarice! Rzuciła się w jego ramiona i wtuliła w niego z płaczem.

- Grady, jaka ja byłam głupia! Masz już kogoś?

- Clarice?! Kocham cię. Tak się myliłem...

- To nie ty. To ja! - wykrzyknęła. - W końcu zdałam sobie sprawę, co usiłujesz mi powiedzieć. Powinnam była...

- Och, jesteś mi potrzebna. Wycofałem sprawę z sądu. Mój tamalowy interes idzie lepiej, niż się spodziewałem. W końcu uświadomiłem sobie, że miałaś rację.

- Nie miałam! Ty ją miałaś. Poszłam i wygarnęłam wujowi Stantonowi, co o nim myślę. Dawno powinnam była to zrobić.

Wyprostował się, ujmując jej twarz w swoje dłonie. Oczy mu się śmiały.

- Clarice! Moja słodka, droga, staroświecka Clarice - wyrzucił z siebie, a potem znowu się pochylił i na kilka minut zapadło milczenie. - Słoneczko - mruknął, unosząc znowu głowę. - Zamykamy ten stragan i jedziemy do domu.

- A tamale...

- Zapomnij o nich - powiedział. - Tak jak ja zapomnę o sprawie, o załatwienie której w tej okolicy prosił mnie Theo. Powiedział mi, że potem zrozumie, o co chodzi, no i właśnie zrozumiałem. - Objął ją w talii. - Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co przeszedłem, ale nie spodziewałem się, że jeszcze mnie zechcesz.

- Grady, nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie!

Zatrzymał się i ten moment wrył się Clarice w pamięć na zawsze. Grady stał przed nią na tle dębów, których liście szeleściły poruszane lekkim wiatrem. Ulicą ciągnęły sznury samochodów, ale ona ich nie widziała. Czowała delikatny zapach

wody po goleniu Grady'ego. Myślała, jak bardzo go kocha i że kochać go będzie zawsze, bez względu na jego ryzykancką naturę.

- Grady, jak ja cię Kocham! - powiedziała i wyciągnęła do niego ręce. Schwycił jej dłoń i pociągnął do stojącego przy krawężniku samochodu.

- Jedziemy. I jeszcze jedno, słoneczko. Nie zamierzasz chyba stać na rogu przy straganie i pichcić tamale. Moja restauracja potrzebuje szefa.

Otworzył drzwiczki i Clarice wśliznęła się do samochodu. Grady zaparkował w garażu w podziemiach budynku, w którym mieszkał i nie puścił jej ręki, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi jego mieszkania. Wtedy przyciągnął dziewczynę do siebie. Wtulając się w niego, wyczuła, jak jest podniecony.

- Grady, nie miałam racji.

- Właśnie, że miałaś. Od kiedy wycofałem sprawę z sądu, poprawiły się stosunki w rodzinie. Teraz wszyscy zwrócili się przeciwko Bartowi. O Boże, gdybyś ty wiedziała, przez co przeszedłem! - Uniósł jej brodę i spojrzał na nią oczyma pełnymi szmaragdowego ognia. - Wyjdiesz za mnie?

- Myślałam, że już nigdy mnie o to nie zapytasz! Zachichotał i pochylił się, żeby pocałować ją w szyję.

- Tyle w tobie seksu. A ja, głupi, uważałem cię za staroświecką. Och, Kochanie, jesteś cudowna! Nie spotkałem jeszcze tak podniecającej kobiety.

- Grady - wyszeptała bez tchu. - Weź mnie.

Jego libido poddało się zadowolone, a jego głos rozsądku zgrzytnął po raz ostatni i połączył z libido swe siły, by wyszeptać: „Potrzebujesz jej!”

- Nie od dziś! - mruknął i objął ją czule.

- Co nie od dziś? - spytała, odchylając głowę i spoglądając na niego.

- Och, już nic, kochana - powiedział. - Moje libido cię potrzebuje.

- Twoje libido! - krzyknęła i oczy jej się roziskrzyły. - Grady, jakie to podniecające! Potrzebuje mnie libido! - Roześmiała się i uścisnęła go. - Kocham cię! Kocham twoje libido!

- A mój głos rozsądku, słoneczko? - spytał zgryźliwie.

Roześmiała się znowu i przesunęła dłoń po jego udzie, wyczuwając pod palcami gęstwę krótkich, miękkich włosków.

- Och, Grady, twój głos rozsądku też kocham!

Głos rozsądku i libido płały wesoło, radując się ze zgody, jaka wreszcie między nimi zapanowała. Clarice uśmiechnęła się i, zaciskając mocno powieki, wtuliła się w Grady'ego.

- Grady, kocham...